N. 21. WARSZAWA d. 13 (25) Maja 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

O TRZĘSIENIACH ZIEMI

I WYBUCHACH WULKANICZNYCH.

(Dalszy ciąg.)

Fakt podobny zdarzył się i w naszym wieku. W 1822 wyspa Meleda, u brzegów Dalmacyi, na Adrjatyku położona, zatrwożorą została hukami podziemnemi, które ciągnęły się przez całe lat cztery. Czasem tak szybko następywały one po sobie, że w nocy z 2-go na 3-ci Września 1823 roku naliczono przeszło sto podziemnych wystrzałów. Huki te były tak podobne do wystrzałów ciężkiej artyleryi, że z początku mieszkańcom się zdało, że gdzieś niedaleko prowadzi się bitwa morska. Hałas trwający ciągle coraz bardziej trwożył ich, rodząc przekonanie o mającym nastąpić trzęsieniu ziemi lub wybuchu wulkanicznym. Lecz przez cały ciąg tego czasu, jedno tylko słabe trzęsienie ziemi czuć się dało, które budynków nie uszkodziło nawet. Mieszkańcy wszelako w ciągłej obawie, prosili rządu austryjackiego o przesiedlenie ich wszystkich na ląd stały. Z Wiednia posłano dwóch naturalistów pp. Riepel'a i Partsch'a, którzy zdołali uspokoić ludność co do niebezpieczeństwa życia. Podziemny hałas ucichł, dopiero całkowicie w roku 1826.

Trzęsienia ziemi nie będąc czem innem jak tylko kołysaniem się, drgnięciem, lub jakim bądź ruchem skorupy ziemnéj, nie mogą wstrząsać jednego tylko jéj punktu, lecz muszą koniecznie rozciągać się na pewną, najczęściéj znaczną przestrzeń. Czasami poruszona przestrzeń bardzo jest znaczną;—łatwo nam będzie kilka stosownych przytoczyć przykładów.

Trzęsienie ziemi w Lizbonie rozciągnęło się na całą prawie półkulę ziemną. Obrachowano, że wstrząsnienie to dało się uczuć na przestrzeni cztery razy większéj od Europy. Skorupa ziemi poruszoną została jednocześnie nietylko w Portugalji i Hiszpanji, lecz i w całéj prawie Europie, w północnéj Afryce, aż nawet i w Ameryce. Miasto Setubal, o 20 mil na południe od Lizbony położone, zapadło się w ziemię. Na wybrzeżach Hiszpanji, w Kadyxie, morze podniosło się o 90 stóp nad swój poziom. W Irlandji w porcie Kinsale, kilka okrętów na rynek wyrzuconych zostało. W Anglji i Szkocji, jeziora i rzeki szczególnie były wzburzone. Lekkie kołysanie się ziemi dało się czuć w Szwecji, Norwegji, Holandji, Francji, w Niemczech, Włochach i Korsyce. Ciepłe Źródła w Toeplitz znikły nagle, lecz późniéj ukazały się znowu gwałtownie, zabarwione solami żelaza i zalały miasto. Jedno ze źródeł mineralnych w Neris, podniosło się o stóp cztery. Wstrząśnienie było bardzo silne na północnem wybrzeżu Afryki. W Algierze i w Fez, przeszło 10,000 ofiar ludzkich naliczono. W Tanger morze tak było wzburzone, że kilkanaście razy występowało z granic swoich. Na wyspie Madera, morze podniosło się o stóp 60 nad zwykły swój poziom. Miasta Marok, Fez i Mekiner zostały zniszczone. Na małych Antylach, gdzie przypływ morza nie dochodzi 2 i pół stóp, fale zafarbowane tak czarno jak atrament, wzniosły się na stóp 20. Słowem trzęsienie ziemi w Lizbonie rozciągnęło się z jednéj strony od Portugalji do Laponji, a z drugiéj aż do Antylów, i w poprzek tego kierunku od Groenlandyi do Afryki.

Trzęsienia ziemi w Kalabryi, w 1783 i 1784 rozciągnęły się we wszystkich kierunkach na odległość 50 mil w około, tak na lądzie jak i na morzu. Wstrząsnienia posuwały się stopniowo w linji prostéj, jakby udzielając się sąsiednim warstwom; w Kalabryi już były ustały, gdy walić się poczęły pierwsze domy w Sycylji. Mieszkańcy Messyny mogli widzieć zapadające się *wille* na brzegach morza, zanim wstrząśnienie doszło do miasta i obaliło ich domy.

Trzęsienia ziemi w Chili (lipiec 1794) które poruszyło 200 mil brzegów, dało się uczuć na morzu w odległości 130 mil naszych, co daje wstrząśnieniu powierzchnię 26,000 mil kwadratowych.

Wstrząsnienie które obaliło i spustoszyło Karakas 12 maja 1812 roku, rozszerzyło się na 140 mil.

Trzęsienie ziemi w Martynice, zajęło Antylskie wyspy, Florydę, brzegi zatoki Meksykańskiej i znaczną część Ameryki południowej, to jest na ogromnéj przestrzeni blizko 300,000 mil kwadratowych.

Zestawienie wielu spostrzeżeń o trzęsieniach ziemi dobrze znanych, wykazuje jasno rozszerzanie się wstrząśnień gruntu na przestrzeniach często bardzo znacznych. Kołysanie się to i drganie zdawało się czasem zakreślać jakby wielkie koło, mniej więcéj nachylone do równika.

Nie potrzebujemy mówić, że trzęsienia ziemi nie tylko na lądach sie zdarzają. Dno morza zarówno poruszać się może w skutek wstrząśnień wewnętrznych ziemi i nadać przez to gwałtowny i nagły ruch falom morskim. Na pełnym morzu, żeglarze nieraz podobnych wypadków doświadczali. Kapitan Oxmann znajdował się na oceanie Południowym, gdy nagle okręt jego doznał podobnego wstrząśnienia, które wielki popłoch wśród osady uczyniło. Sądzono, że okręt uderzył gwałtownie o podwodną skałę, sonda (ołowianka) okazała prędko, że znajdują się na głębinie. Takiż wypadek spotkał kapitana Lemaine, w ciaśninie jego nazwisko noszącéj.

Podobne wstrząśnienia wód morskich obalały czasami maszty na okrętach, i inne drobne sprawiały szkody, lecz ruchliwość wody i równowaga statku takie wypadki niebezpiecznemi nie czynią. Wzburzenie wody skutkiem wstrząsnień ziemi, tylko na brzegach prawdziwie jest strasznem, i na nich to często okropne czyni spustoszenia.

Podczas katastrofy Lizbońskiej, wzburzenie morza o wiele przyczyniło się do ogólnego zniszczenia. Fale podniosły się o 45 stóp wyżéj nad najwyższy przypływ. Te góry wody z nieprzepartą siłą zwaliły się na upadające w gruzy nieszczęśliwe miasto,

niszcząc i zatapiając wszystko co trzęsienie ziemi oszczędziło. Trzykrotnie morze ponawiało ten szturm straszny, unosząc w swym powrocie wszystko co zniszczyło we wściekłym napadzie.

Podczas trzęsienia ziemi w Lima (28 października 1746 roku), morze wzniosłszy się do wysokości 90 stóp nad poziom, rzuciło się na nieszczęśliwe miasto Kalao i pochłonęło je całkiem. Cofnąwszy się, wróciło znowu z większą jeszcze siłą, tak, że wyrwało nawet i uniosło grunt, na którym się przed chwilą wznosiło. Wszystkie okręta w porcie znajdujące się zatopione lub zdruzgotane zostały. Mniejsze statki potonęły na miejscu, większe zaś z nieprzepartą siłą wyrzucone były na ląd i rozbite o skały. Cztery z nich wzburzone fale rzuciły o półtory mili w głąb lądu, po za mury miasta. Wszystkie one zginęły wraz z osadami swemi, zdruzgotane w kawałki. Z całej ludności miasta Kalao, piętnaście osób zdołało ocalić się i schronić do Limy. Kiedy mieszkańcy tego ostatniego miasta po swem własnem nieszczęściu, przyszli trochę do siebie, ażeby pomyśleć o nieszczęściu innych, znaleźl pod stosem niekształtnych szczątków tego co przed tem pięknemi okrętami było, resztki trupów najokropniéj pokaleczonych.

Podczas trzęsienia ziemi na wybrzeżach Jamajki w 1692, morze podniosło się do niezmiernéj wysokości. Jedna fregata angielska przerzuconą została fałami, po wierzch domów i dzwonnic miasta Port-Royal.

Wszystkie te wypadki dowodzą olbrzymiéj siły mechanicznéj, z jaką działać mogą fale morskie, gdy są rzucone o brzegi w skutek wstrząśnienia dna morskiego.

Czas trwania trzęsień ziemi szczególnie bardzo różny bywa. W niektórych miejscowościach drganie gruntu trwa całe tygodnie i miesiące nawet; w Peru widziano ziemię drgającą przez kilka lat z rzędu,—rzecz prosta, że ruch ten był słaby. W niektórych miejscach trzęsienia ziemi bywają jakby perjodyczne. W Jamaice naprzykład, raz na rok spodziewają się stale drgania gruntu. Są kraje w których wstrząśnienia dają się czuć przez sześć miesięcy, nawet i cały rok z rzędu, a potem niepowtarzają się i w ciągu całego wieku. W innych znowu miejscowościach, ruch ten wewnętrzny trwał dzień jeden, godzinę, sekundę nawet tylko. Nic więc nie ma zmienniejszego, jak czas trwania tych wewnętrznych konwulsyj.

Lecz jakaby nie była siła, ilość i częste powtarzanie się wstrząśnień, których ciąg trzęsienie ziemi stanowi, trwanie każdego wstrząśnienia jest zawsze tylko chwilowe. Trzęsienie ziemi, jak burza, przeciągać się może długo, lecz wstrząśnienia, jakby błyskawice, nigdy więcéj nad kilka sekund nie trwają. Trzęsienie ziemi które w 1693 zburzyło miasto Messynę i piędziesiąt różnych miejscowości w Sycylji, o śmierć przyprawiając 60,000 ludzi, trwało pięć sekund tylko. To które w 1812 zniszczyło Karakas i miasto całe w kupę gruzów zmieniło, trwało króciéj jeszcze; we trzy sekundy dzieło zniszczenia całkowicie zostało dokonane. Pierwsze wstrząśnienie wszystkie dzwony w ruch wprawiło, drugie obaliło dachy na domach, a w sekundę późniéj, nim można było zdać sobie sprawę z tego co się dzieje, trzecie, ostatnie a silniejsze wstrząśnienie, w jednéj chwili pod stosem rumowisk nieszczęśliwych mieszkańców zagrzebało.

Wstrząśnienia które od 2-go kwietnia do 17-go maja 1808 roku, trapiły całą prowincję Pignerol i powtarzały się cztery do pięciu razy na dzień, nigdy nie trwały więcéj nad kilka sekund każde.

Kierunek w którym trzęsienia ziemi się rozchodzą, trudnym jest do oznaczenia, gdyż trudno ażeby się znalazł w chwili katastrofy badacz tak silnéj woli, poświęcenia dla nauki i zimnéj krwi, coby mógł notować rodzaj i kierunek tych konwulsyj ziemnych i jego co chwila pochłonąć mogących. Arystoteles któren miał sposobność obserwować w Grecyi i na wybrzeżach Azyi kilka trzęsień ziemi, pierwszy rozróżnił trzy kategorye rodzajów i kierunków wstrząśnień. Śmiało powiedzić możemy z filozofem greckim, że wstrząśnienia bywają: albo *falowate* czyli *horyzontalne*, albo *pionowe*, to jest powstające z mniéj więcej gwałtownego podnoszenia się i opadania gruntu, albo nareszcie *wirowate*.

Wstrząśnienia *pionowe i horyzontalne* często zdarzają się jednocześnie. Według Humboldta, wstrząśnienie pionowe z dołu do góry, w trzęsieniu ziemi w Rio-Bamba, 1797 roku, zrobiło skutek wybuchu miny prochowéj: trupy wielkiéj ilości ludzi wyrzucone zostały na sąsiedni wzgórek, na wysokość 450 stóp. Kiedy się te trzy rodzaje wstrząśnień połączą, nic opustoszeniu ujść nie może.

Takie zapewne musiały być rodzaje wstrząśnień gruntu, które zburzyły Sycylję i Kalabrję w 1783 roku. Ruchy miały być tak bardzo gwałtowne, tak skomplikowane, że widziano drzewa wierzchołkami swemi dotykające ziemi. Według Dolomieu i Humboldta, badaczy niezmiernie sumiennych, widziano domy całe wywrócone lub podniesione w górę i wracające do dawnego położenia, nawet najbliższe szczyty Apenninów chwiejące się w powietrzu.

Długo utrzymywano, że łańcuchy gór, zwłaszcza granitowych, jakiemi właśnie są Apenniny, to jest złożone ze skał pierwotnych, sięgających i mających swoją podstawę w najgłębszych warstwach skorupy ziemnéj, zatrzymują szerzenie się wstrząśnień, które jakoby konały u ich podnóża. Zbyt wiele jednak faktów zaprzeczyło temu zdaniu, ażeby ono w nauce przyjętem być mogło.

(d. c. n).

To i owo.

Rzecz dziwna, że dopóki poezja używała na świecie jakiéj takiéj wziętości, niepodobna było wpaść w uniesienie z powodu rozkoszy majowych, nie będąc we własnem przekonaniu kłamcą wierutnym, powtarzającym tylko „na słowo Mistrza", zachwyty greckich i rzymskich pieśniarzy, lub w najlepszym razie to, co sobie o tem roi lud prostaczy, zapewne z tradycyi przyniesionych niegdyś z nad Gangesu. Dziś zaś kiedy się rzecz ma całkiem przeciwnie, ów maj zrozpaczony, zdyskredytowany, zatracony już niemal, zjawia się jedną razą w całéj potędze swego uroku, jakby na dowód: że przecież poezyi nie godzi się przynajmniéj odmówić przeczucia. Trochę to może zapóźno—ale no—lepiéj późno jak wcale,—jeszcze to może nie ostatnia poezji godzina.

Tedy wielki się zrobił ruch w naszéj Warszawie, nie bez nieufności—o nie—w szczęście choćby najmniejsze uwierzyć nie łatwo.

— Maj powiadacie? co? gdzie? jak? a święci pańscy Pankracy, Serwacy i Bonifacy?

Nadeszli i oni—i nic. Ani kto nos odmroził, ani febry dostał, ani choćby kataru.

Dopieroż gwałt! rwetes! co tchu wyjeżdżamy za rogatki, gdzie kto chce, a raczéj może..

— A! słowik śpiewa, bocian klekocze, kukułka kuka—patrzcie no! A ta trawa zielona, to słyszę żyto—tamto znowu pszenica, z kłosami już—no proszę! I pachnie, ale jak pachnie, to wcale nie to co nasze rynsztoki. I ciepło—doprawdy ciepło—ha! ha! nawet nocą można się zapóźnić ktoby zechciał. No, no—wszystko w porządku, jak podobno w Arkadji bywało—może i w Atlantydzie—a cóż dopiero w raju ziemskim z którego tak obelżywie gołych nas wygnano.

Kto nie mógł za miasto, do ogrodu sobie szedł. Tam były także słowiki—ale na bardzo krótko. Nie na miejscu się bowiem wylęgły, tylko je w klatkach przyniesiono, żeby im wolność utraconą wrócić. Zaczem strzepnęły się tylko, i każdy odleciał w swoją stronę. Przez wdzięczność, nie jeden może miał i chęć pozostać—ale w takich tumanach kurzawy.... jestże śpiewak na świecie, któryby się od tego nie rozkaszlał i nie ochrypł? Do tego, ptaszyna owadami się żywi, a jak tu napatrzyć muszkę nieostrożną w téj tak pojętnie odgrywanéj. *Zemście owadu.* Na szczęście, zębów ptak ten nie ma, więc mu przynajmniéj nic w nich nie trzeszczy. Za to my, platonowi ptacy bez pierza....

— Ale zkąd potrzeba niezbędna podobnéj kurzawy—spytacie?

— Rok to, twierdzą uczeni, kometowy, więc ogoniasty. Tak moda każe, a wiadomo co to moda! Człowiek musi być ubrany przyzwoicie.

— Ależ ja widzę tyle dam najprzyzwoitszych, za któremi przecież nic a nic się nie włóczy. Za to znowu wszystkie nieprzyzwoite...

— To już taka emancypacja. Nie każdy na odczytach bywał.

— Wiem, wiem, bywało na nich po kilkadziesiąt osób, a w Warszawie jest ich przecie trzykroć-sto tysięcy.

— Więc skoro tak uradziła większość rozsądna....

— A! rozsądna. Jakto rozsądna?

— Wszak przyznasz asindziéj, że zbytek jest rzeczą naganną.

— O! ale jak.

— Drożyzna zaś mocno dotkliwą.

— Któżby śmiał zaprzeczyć?

— Otóż drożyzna ma to do siebie, że będąc nielada utrudnieniem, już przez to samo nie wszystkim zbytkować dozwala.

— A? jakto?

— Rzecz jest taka. Spróbowano naprzód nosić suknie w rozmiarach swoich coraz obfitsze. Nic nie pomogło—wszyscy przyjęli to za konieczność. Następnie; po dwie naraz—ale i na to w chudobie naszéj nędznéj znalazły się jakoś odpowiednie środki. Teraz tedy postanowiono je nosić w taki sposób, żeby się co najprędzéj podarły, czyli, żeby ich trzeba było mieć niewiedzieć ile; tego to już chyba nie każdy dokaże.

— A na długoż to taki ogon wystarczy?

— Na tydzień.

— O święci tureccy! bodaj wam wielożeństwo wasze bokiem wyszło! Bo proszę tylko—taka suknia co to na tydzień jedynie potrzebna—taka, wiecie—kretynowa—nie, jakże tam? kretonowa—niedawno temu u Włodkowskiego zapłacona została złp. 800. Wprawdzie był to model. Model zaś jest to taki utwór mody, na wzór którego dopiero inne się udziałać mają. Tedy cóż to za rozkosz módz znosić podobny unikat, lub w najgorszym razie pierwowzór—zanim się zjawią jego kopje! I nawet na tem istotnie (łącznie z ceną) rozkosz cała, bo z resztą wygląda to jak stara portyera, lub nawet pokrowiec na krześle u gorzelanego. Inny jeszcze model tamże zapłacony zo-

stał złp. 500. Tą razą, to już tylko zgrzebne płótno błękitnawe, całkiem pierwotnego wiejskiego wyrobu. Ha! cóż robić! Tak udecydowały przecie panie paryzkie, w przystępie budującéj oszczędności. Wprawdzie dość lichą nagość owéj oszczędności pokrywają jak mogą prawdziwemi, najcenniejszemi koronkami; ale to także koronki patryotyczne, własne swoje, francuzkie. Co do nas, nie mamy my u siebie fabryki koronek. Za to, wszystkie obce są nasze—czyż nam kto zabroni? Wprawdzie podobniśmy w tem nieco do owego facetusa w nietrzeźwym stanie, któremu zarzucano: że nie zdoła przejść po jednéj desce, a on dowiódł: że potrafi chodzić po wszystkich...

W tym względzie studjując pokolenie przyszłości, ciekawość bierze przeniknąć: co też za lat jakie 10 mężom swoim sprawiać sobie każą owe dziewczynki dzisiejsze w podpinanych kostiumach, tiunikach, baskinach, wolantach, plisach, bufach? Aleć i przyszli ich mężowie niemniej na wystawie międzynarodowéj krawiecczyzny, śmiało figurowaćby mogli. Więc też ani sposób przy takim nakładzie tualetowym, strojne owe *homunculusy* na wytknięty im w ogrodzie osobny trawnik skazywać. Zbyt to jest na ustroniu—nikogo tam nie zachwycą—do tego wdać się mogą „z Bóg wie kim!" Z tych względów, cały ogród Saski na łup jest im wydany—osobliwie zaś alea środkowa z przyległościami. Tamto co chwila, albo balon spada ci na glowę, albo piłką w plecy bierzesz, albo obręcz pod nogami ci się plącze.

Próbowałem raz zwrócić na to uwagę jednego publicysty, dość burzliwego nawet człowieka. Odpowiedział z namaszczeniem: że gdybym sam miał dzieci, byłbym w tym względzie o wiele pobłażliwszym.

Dzieci ja wprawdzie nie mam, sam byłem kiedyś dzieckiem, i pamiętam dobrze jak mi mówiono: żebym się nigdy nie bawił w sposób mogący zrobić przykrość starszym. Nawet zapowiedziane sobie miałem, na wypadek gdyby wymyślono kiedy welocypedy, żeby nikomu niemi nie wjeżdżać na pięty.

Przy téj zręczności, czyby nie można zaproponować oddanie na wyłączny użytek dzieciom wykwintnym bassenu, którego całą przyczyną bytu zdaje się być usypany w łonie jego pagórek, dokąd wszakże wiodące drogi wężowe wiecznie żerdziami zagwożdżone bywają. W téj dolince uciesznéj, z wyżyn do koła ją obiegających, wybornie owe wystawy sklepowe podziwiaćby można, i nie jeden magazyn z Freta ulicy mógłby się tam zaopatrzyć w najświeższe fasony.

Ściśle biorąc, w ogrodzie tym naszym, stanowiącym najcenniejszą miasta ozdobę, a oraz jedyną najbliższą przechadzkę, więcéj jest może do zaniechania niż do zdziałania. Wiele rzeczy już się tam stało, i nie ma co gadać o ich odrobieniu; aleć są i takie z których by się poprawić warto! Świeżo temu naprzykład, przekrojono ścieżką najpiękniejszy z całego ogrodu trawnik od strony Królewskiéj ulicy.

— Dla skrócenia—drogi powiadają.

— Komu?—używającym przechadzki?

— Nie. Ale przechodniom.

Czyż to ogród jest ulicą?—Prawda, że w nim i teatr wybudowano—nasza zaś publiczność najprostsze jak wiadomo drogi lubiąca, z teatru nowego wychodząc, ani o klomby, ani o barjery (jeśli jeszcze są gdzie jakie) nie pyta,—trzeba jéj tedy w pomoc przychodzić—nie ma rady. Nawet co prawda, nie zawsze w tem należy o złą wolę ją posądzać. Wzrokowi nawykłemu przez godzin parę do rzęsistego oświetlenia gazowego, znagła w ciemnościach bezksiężycowéj nieraz nocy, orjentować się nie łatwo. Cóż dopiero jeśli kto wyszedł z teatru w stronę przeciwną kierunkowi swego domu! Dodajmy do tego, że się to dzieje czasem wśród deszczu. Dla tego pożądanemby było: ażeby choć kilkanaście kagańców nić przewodnią w tym labiryncie stale utrzymywać mogło.

Propozycja ta mocno już jest na dobie. Właśnie teatr Wielki robi co może, żeby zatrzymać jeszcze choć na czas niejaki pierzchliwe resztki swoich zwolenników. Nawet ceny obniża, co jest rzeczą bardzo pożądaną—szkoda tylko, że arcy przelotną. Ale i to nie wiele pomaga.

— Nie grają nic nowego. Obiecali księżnę Jerzowę—toż to przecię Dumasa syna—ale cóż—odłożyli na późniéj.

— No—a Marja Stuart?

— E —to było piekielnie nudne. Czytałem przecię w pismach. Gdzie to tam do Szyllera?

— W tym przedmiocie słyszałem jednak i sąd przeciwny. Siedząca przy mnie w krzesłach dobroduszna jakaś kobiecina, namartwiwszy się i napłakawszy niesłychanie, odezwała się jedną razą do swojéj sąsiadki:—To rzecz dziwna. Byłam już przecię raz na téj tragedji, tak coś ze cztery lata temu; ale odtąd czy ją przerobiono, czy co?—jakaś mi się wydzi piękniejsza.

— Ha! ha! co głowa to rozum. Ja ufam temu co wydrukowano.

— No, a Mazepa?

— Jaka Mazepa?

— Przecież widowisko na korzyść Tatarkiewicza i Grzywińskiego...

— E, w takie gorąco.

— Wcale tam nie było gorąco. Z resztą, któż bronił wyjść choćby w środku widowiska, byle się bilet wzięło...

Nie, doprawdy, kto się w tegoroczny upał majowy chciał ochłodzić (ale fizycznie nie moralnie) dość mu było tylko na przedstawienie Maryi Stuart się wybrać. Przestrono! Przechadzać się było można! Osób sobie paręset--nie więcej—i to sami znajomi—prawie nikogo obcego literaturze. Za to w Cyrku Salamońskiego, to nie mówię. Tam i ciasno i niewygodnie, ale nadewszystko...drogo. Ha! trudno. Taki dobór wiekopomnych illustracyi! Seniorowie don Socundo, donna Miguel Mayola aż z samego słyszę Madrytu, wielemogąca Katarzyna Franken z czteroletnią siostrą, wielce szanowny Augustus Blennow z poważnie wychowanemi psami. Ztąd cóż dziwnego, że trzpiotowaty ślub z sąsiedztwa (wyrażając się gwarą studencką) fatalnie został w trąbę puszczony? Jakoż, zabrawszy z sobą małpy, psy i Brokmana, wyniósł się z naszemi pieniędzmi ten bohater efemeryczny, śmiejąc się dość grubo.

A! ale otóż i Bilse nieoszacowany!

— Jakto? przecież pięćdziesiąt groszy...

— Nawet dawniéj było czterdzieści. Ale w tym roku mógł był jeszcze podwyższyć komorne — nie komorne chcę mówić, tak mi się ten utrapiony gospodarz po głowie plącze! — ale opłatę, za to że grywa o pół mili za miastem. Umieraliśmy już ze strachu czy tego nie zrobi — szczęściem zostawił jak było—ale gdyby wiedział ... nas przecie i na rubla stać. No jużci—dorożką się tam jedzie dwuzłotową. Czy aby w téj dolinie jedzenie teraz lepsze? bo żeby tańsze, to już o tem nie mówić. Także w Szwajcarji téj, Szwajcar by się choć raz przydał—dla pilnowania porządku—bo tyle tam sobie ludzie do powiedzenia mają! Także nie wszyscy przyzwoicie siedzieć umiemy. Aleć to przecię ogródek tylko....

Cóż więcéj? Otwarcie wód mineralnych. Pod dobrą wróżbą, w ciepło, w pogodę, przy dźwiękach muzyki—wartoż tego wszystkiego za granicą szukać? A i teatra letnie—tylko ich już patrzeć. Osobliwieśmy ciekawi. Tivoli. W zimie takeśmy się tam siarczyście bawili.....

Przegląd literacki.

Co Bóg dał. Wydał F. M. Ejsmont. Ozdobione rycinami A. A. Ejsmonta (z godłem). J. N. N.

„Niech ktokolwiek, pracując bądź w jakim zakresie,
Do wspólnego ogniska swą iskrę przyniesie."

Kijów. W drukarni Uniwersyteckiéj 1872 r. (w wielkiéj ósemce str. 367).

W krótkim przeciągu czasu, mamy już drugą książkę zbiorową, wydaną w Kijowie, w drukarni Uniwersyteckiéj. W r. 1870 p. Ignacy Trusiewicz, ogłosił „*Kwiaty i owoce*" które przyjaźnie przyjęte zostały przez naszą prassę. W książce téj wystąpili bezimiennie dawni pracownicy, jak Aleksander Groza, Darowski i Antoni Nowosielski; w téj mieszczą się prace A. Nowosielskiego, Koronowicza, Benedykta Dołęgi, Aleksandra Grozy, J. Kotkowskiego i Adama Pługa— oraz kilku młodszych pisarzy.

Na czele, mieści się artykuł p. n. *Rodzina*, wykazujący jéj znaczenie wzniosłe w każdem społeczeństwie.

„Jak nie ma religii bez świątyni (mówi autor), tak nie ma rodziny bez domowego ogniska; ona musi mieć swój kąt uświęcony czasem, wspomnieniem wspólnych cierpień i radości: czy to będzie najuboższa chata, czy świetny dworzec, będzie on zawsze owym małym światem, o którym myślimy w czasie pracy i odpoczynku, w biedzie i dostatku, smutku i radości. Przedstawia się on zawsze naszéj myśli i sercu razem ze wspomnieniem osób najdroższych, gdyż ich pamięci, cichą łzę święcimy.

Dziecię, śpiące w kolebce dobroczynnego zakładu, nad którem czuwa obcy, nieczujące oddechu matki, nie znające pocałunku rodziców, tych dwóch istot na świecie, kochających go szczególną i wyjątkową miłością, nie może być uzbrojone dostatecznie do walki z życiem w przyszłości. Braknie mu téj rzewnéj a potężnéj wiary z piersi matki wyssanéj, braknie tych wspomnień, téj tradycji, tego błogosławieństwa ojca, téj łzy matczynéj za nim wylanéj,—jednem słowem braknie mu rodziny, tego źródła siły, energii, moralności i cnoty. My umiemy pisać książki i dzieła, tworzyć martwą teorję obowiązków i poświęcenia, ale prawdziwym nauczycielem tego w społeczeństwie, jest matka. Ona to prowadzi drogę życia do dobrego; ona pieszczotą nagrodzi każdy objaw szlachetnego uczucia w dziecku: ona w razie potrzeby, daje pierwsza z saméj siebie przykład męztwa, i drugi może trudniejszy przykład, zgodzenia się z losem. Czy to pod słomioną strzechą, czy w pałacu, matka jest zawsze matką dla swego dziecięcia i niczem zastąpić się nie da. Nazwisko jéj — miłość: cecha — zapomnienie, a godło—przebaczenie!

„Dla tego też jeśli pragniemy osiągnąć ów cel humanitarny podniesienia siebie i całych mass moralnie, odrodzenia dawnych cnót, lub przechowania tradycyi rodzinnych, to uwierzmy najprzód w wielkie posłannictwo rodziny, które ona jedna tylko spełnić może i powinna."

Następująca rozprawa p. n. *Bajron sceptyk kosmopolita i zwiastun Socjalizmu* znamionuje głębokiego myśliciela, który gruntownie zna swój przedmiot, i wszechstronnie a umiejętnie go zbadał. Trafnie jest tu określone stanowisko, wielkiego poety Albionu i wyjaśnione powody, dla czego ten kierunek obrał sobie geniusz twórcy *Manfreda*. Dobrze harmonizuje się ta szacowna praca, z poprzedzającą *Rodziną*, albowiem wykazuje wpływ zgubny na przyszłość poety, dziki charakter matki jego, brak kierunku moralnego jakiego nadać nie umiała i od któréj w pierwszych latach dzieciństwa, doznawał większéj niedoli, a niżeli którakolwiek sierota. Z gory-

czą w sercu opuścił własną ojczyznę, nie mając rodziny któraby go kochała, porzucił żonę — dla któréj czuł tylko nienawiść. Tę gorycz co mu przepełniała piersi, wyrzucił w pożegnaniu *Child-Harolda*.

Bywaj mi zdrowy kraju kochany!
Już w mglistéj nikniesz powłoce:
Świstnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świegoce:
Daléj za słońcem, gdzie jasną głowę,
W zachodnie pogrąża piany!
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów kraju kochany!
Za kilka godzin różane zorze
Promieńmi błyśnie jasnemi,
Zobaczę niebo, zobaczę morze,
Lecz nie zobaczę méj ziemi!
Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje:
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.
Teraz po świecie błądzę szerokim
I pędzę życie tułacza,
Czegoż mam płakać, za kim, i po kim,
Kiedy nikt po mnie nie płacze?
Pies chyba tylko zawyje zrana,
Nim obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego dawnego pana,
Wściekłą powita paszczęką!
Już okręt piersią kraje głębinę,
I żagle na wiatr rozwinął:
Niedbam ku jakim brzegom popłynę
Bylebym nazad nie płynął.
Gdy mię twe jasne znudzą kryształy,
Ogromna, modra, płaszczyzno,
Powitam lasy, pustynie, skały,
Bądź zdrowa, luba ojczyzno!

Było to ostatnie Byrona pożegnanie owéj dumnéj Anglii, która go darzyła tylko szyderstwem, a późniéj zapisała w poczet mężów chlubę jéj stanowiących w świecie umysłowym.

Nierozumiemy, dla czego autor, przyczepia do imienia poety Albijonu, Henryka Rzewuskiego, jakoby podobnie prześladowanego jak Byron, i odpłacającego się goryczą swéj społeczności. Przyjęcie jakiego doznał po wydaniu *Soplicy* było jak najprzyjaźniejsze: ogólny chór zgodnego poklasku towarzyszył pojawieniu się tego pierwotnego utworu jego pióra. Nie miał więc żadnego powodu do sarkania.

Autor téj o Byronie rozprawy, przytacza słynnego Gerwinusa zdanie: „że sceptycyzm jego, zbrojny czarami pieśni bunt rozbrzmiewający, uderzywszy w dzwon, nagromadzony skład podobnegoż sceptycyzmu po całym świecie nurtującego, ocknął, wywołał podobneż niezadowolenie z istniejącego porządku rzeczy, i prosto ztąd idącą rozliczność teorji dzisiejszego socjalizmu. Jednem słowem, za Bajronem w ślad poszli St. Simon, Fourier, Owen i inni, aż w końcu stanął na ich czele najmocniejszy w zastępie *Prudhon*.

(d. n.)

Korespondencja ze Lwowa.

Największą przysługę oddał w obecnéj chwili sprawie oświaty namiestnik hr. Gołuchowski, który bez żadnéj urzędowéj zapowiedzi, zwiedził kilka powiatów i zbadał stan szkół w chwili najstosowniéjszéj, bo wtedy, gdy żadnemu nauczycielowi i nie śniło się, że na jego wykład zleci nagle jakby na skrzydłach tak wysoki urzędnik. Znakomity dar spostrzegawszy i znana aż nadto każdemu energia namiestnika wywrą niezawodnie skutek pożądany i przyniosą szkołom naszym korzyść niemałą. Nauczyciel albo dyrektor przekonawszy się raz, że najwyższy w kraju urzędnik tak energicznie zajmuje się szkołami, że nie szczędzi trudów podróży, aby baczną obserwacją wykładów a nawet egzaminowaniem uczniów przekonać się na własne oczy o niedostatkach zakładów naukowych, niezawodnie w dwójnasób powiększy swą gorliwość. A dodać należy, ze namiestnik nie przebaczy najmniejszéj usterki i zaniedbania, o czem wiedzą doskonale wszyscy dzisiejsi i dawniejsi jego podwładni.

Księgarnia polska A. D. Bartoszewicza postanowiła przysłużyć się znakomitym darem oświacie ludowéj, a zarazem i literaturze. Niebawem bowiem rozpocznie ta drukarnia druk kilkunastolomowéj historji powszechnéj Schlossera w polskim przekładzie. Cały czysty dochód z tego dzieła o 600 arkuszach druku, przeznacza wydawca na cele oświaty. Większą jeszcze korzyść niż fundusz oświaty, odniesie ztąd literatura nasza, która z wyjątkiem maleńkich kompendyów Weltera i Pütza dotąd nie posiada przekładu dzieła dającego obraz dziejów powszechnych w szerszych ramach. A przekłady takich dzieł w braku oryginalnych stały się niezbędnemi już w chwili. gdy język niemiecki wyrugowany został z gminnazjalnych szkół.

Czeka nas jeszcze inna o wiele ciekawsza i cenniejsza niespodzianka naukowa. Osoby dobrze poinformowane zapewniają, że druk obszernego dzieła profesora dr. Andrzeja Małeckiego niebawem się już rozpocznie. Na dzieło to czekają już od dawna z upragnieniem wszyscy, którym znaną jest z poprzednich dzieł lub wykładów uniwersyteckich, olbrzymia nauka i skrupulatna sumienność szanownego autora. Profesor A. Małecki zjednał sobie w naszéj krytycznéj literaturze ogromną zasługę dwutomowem dziełem o pismach i życiu Juliusza Słowackiego. Równie znakomitéj, wyczerpującéj i nader sympatycznie opracowanéj monografii, literatura nasza nieposiada wcale. Od chwili, gdy się dzieło to pojawiło, profesor dr. Małecki stał się pierwszą u nas powagą krytyczną, i uważany jest powszechnie za jedynego pisarza, który z wielkiem powodzeniem przystąpić może do tak trudnego zadania, jakiem jest napisanie krytycznéj historji literatury polskiéj.

Nowéj dyrekcji teatru lwowskiego i rezultatom jéj dotychczasowéj czynności, należy się koniecznie osobna wzmianka i w téj korespondencji. Na wstępie zapisujemy ten wielce ważny fakt, że na scenie lwowskiéj pojawiły się, dzięki nowéj dyrekcji, arcydzieła skazane od lat kilku na banicję. Jeszcze ważniejszym jest fakt, że arcydzieła te odegrane zostały dobrze, o ile to tylko w danych stosunkach było rzeczą możliwą. Pomiędzy artystami dzisiejszymi, przewyższa wszystkich wielkim talentem i znakomitą grą p. Bolesław Ładnowski, który już po pierwszym występie zjednał sobie we Lwowie powszechną sympatję.

Mieliśmy już także pod nową dyrekcyą kilka przedstawień opery, który kierownictwo artystyczne spoczywa w rękach znanego śpiewaka p. Stanisława Niedzielskiego. Znawcy zapewniają, że w tych kilku przedstawieniach p. Niedzielski dokazał rzeczy nadzwyczajnéj. Istotnie bowiem stworzenie opery we Lwowie zdawało się rzeczą niemożliwą, i tylko zręcznym a gorliwym zabiegom p. Niedzielskiego zawdzięczamy kilka bardzo przyjemnych wieczorów spędzonych w teatrze. Filarami opery są: p. Marja Kwiecińska p. Borkowski, p. Cieślewski, a wreszcie sam dyrektor. Siły te niezawodnie nie wystarczają jeszcze, chociaż przedstawiono już niemi Fausta kilka razy i do tego z wielkiem powodzeniem. Poparcie, jakiego opera doznaje dotąd ze strony publiczności, dozwala spodziewać się, że środki materjalne wystarczą na niezbędne zasilenie personalu. Dramat i komedja nie doznają już tak życzliwego poparcia lwowskiéj publiczności. Mimo ciekawych sztuk teatr bywa tylko do połowy zapełniony, a na kilku przedstawieniach podziwiać można było niepospolite pustki. Mianowicie loże zajmowane dotąd przez arystokrację, stoją prawie zawsze puste. Fakt ten obudził domysł bardzo nieprawdopodobny a nawet śmieszny. Mówią bowiem, że arystokracja zrażona niepowodzeniem hr. Cetnera przy konkursie o dyrekcję, zobowiązała się najformalniéj nie uczęszczać do teatru. Domysł ten zarówno śmieszny i nieprawdopodobny, skłonił jedno z tutejszych pism codziennych, które słynie ze swojéj niezrównanéj niezręczności, do wystąpienia z silnym atakiem na całą wyższą warstwę społeczeństwa. Ta napaść jest jeszcze nadto i niesmaczną, bo właściciel wspomnionego pisma jako jeden z przedsiębierców teatralnych, przy pisaniu tego artykułu nie powodował się prawdopodobnie wyłącznie szlachetnem uniesieniem, lecz także i własnym interesem. Nie dziwilibyśmy się zatem, gdyby napaść taka osiągnęła skutek wprost przeciwny i zamiast usunąć urojoną zmowę, wywołała istotnie pewne rozdrażnienie i niechęć zamożniejszéj części społeczeństwa do dzisiejszéj dyrekcji teatru.

Czynność jéj dzisiejsza wydałaby daleko świetniejsze rezultaty, gdyby rozterki zakulisowe nie wywierały ustawicznie paraliżującego upływu. Pomiędzy kilku przedsiębiercami teatralnemi i kilku artystami ciągła toczy się walka o kierownictwo sceny i reżyserję. Z tego powodu niemal co tydzień następuje jakaś zmiana. Najpierw spoczywała dyrekcya w rękach siedmiu przedsiebierców, potem objął ją jeden z nich p. W. Smochowski (były dyrektor sceny lwowskiéj w r. 1864); po nim nastąpiło krótkie ale szkodliwe interegnum, aż w końcu na ostatnich afiszach publiczność spotkała się z p. Bolesławem Ładnowskim jako dyrektorem artystycznym. Jeżeli w każdem przedsiębierstwie zgodne działanie jest pierwszym warunkiem powodzenia, to obecnie w dyrekcyi teatru lwowskiego zgoda najściślejsza jest podwójnie pożądanym warunkiem, bo trudności są bardzo liczne i niebezpieczne, a faktem jest: że powstanie we Lwowie drugi teatr p. Miłaszewskiego, któremu cesarz udzielił już koncesyę.

Br. Ł.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 21 r. 1872.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

Dzisiejsze, kupieckiéj formy, listy są karykaturą takiego dawnego listu. List dzisiejszy pisze się dorywczo, w kilku słowach zawiera się cały interes, i na tém koniec. To też i takie poszanowanie tych listów! Za dzień, za dwa idą na śmiecisko, a nawet poniewierają się otwarte i pozwalają każdemu zapoznać się z ich treścią, jeżeli kto po nie schylić się zechce!..

Dawniejsze listy chowano starannie, bo one stanowiły niejako rodzinną kronikę domu.

Listy takie były starannie wypracowane, bo po listach sądzono człowieka. Miały charakter czysty i czytelny, nieupstrzony żadnemi zygzakami. Dodatki do liter uchodziły za ubliżenie tego, do którego się piszą. Nieczytelność podpisu uważano za obrazę, bo listy takie brano na równi z kwitkami do arendarza.

Pułkownik przestrzegał skrupulatnie wszelkich reguł w pisaniu listów. Nie zasiadał on odrazu do pisania, ale przygotował się do niego już w wilję. Rano po kawie zapalił lulkę i długi czas chodził zamyślony od pieca do okna. Broń Boże było wtedy przemówić do niego jakie słowo. Odfuknął, a czasem jeszcze i czynnie dał odpowiedź, z któréj pytający wcale nie mógł być zadowolony.

Po takim wstępie siadał dopiero do stolika i kładł papier przed sobą. Na widok tego papieru musiała już służba na palcach chodzić, a biada Szymkowi jeśli drzwi zaskrzypiały!..

Jeżeli był już za drzwiami, to na żądanie pułkownika musiał na powrót wejść do pokoju, ale po to tylko, aby w sposób nienaturalny wyjść znowu za drzwi! Jeżeli zaś był jeszcze w pokoju, to w taki sam sposób wychodził także za drzwi!

Bo też i list ten, wart był tych wszystkich środków prewencyjnych! A był to dopiero raptularz! Po południu dopiero odbywało się czyste pisanie!

List taki był zazwyczaj jednym rozdziałem dziejów domowych, lub stosownie do stanowiska piszącego, zawierał cały ustęp dziejów kraju!

Nie było nic dobrego, coby w tych ramach nie znalazło należytego umieszczenia!

To też listy takie stanowią dzisiaj cenny materjał do historji kraju, domów i ziem pojedynczych, a czemże w obec nich będą nasze listy dla potomnych?...

Otóż w tych długich listach swoich, pisał mi pułkownik obok nauki i różnych ułamków biblijnych, o wszystkich szczegółach, jakie tylko tam zajść mogły w czasie mojéj nieobecności! I nie była to tylko krótka enumeracja tych szczegółów, ale było należyte ich obrobienie z zastosowaniem wszelkich ornamentów, jakich używać chciała ówczesna nauka stylistyczna.

Żałuję mocno, że nie mam pod ręką jednego z tych listów, aby go tutaj w wiernéj kopii przytoczyć.

Z listów tych dowiadywałem się najprzód: jak pułkownik zapatruje się na stworzenie świata, dla czego jest nieprzejednanym nieprzyjacielem Woltera, co myśli o jego wielkim mecenasie, który zamiast rządzić poczciwie krajem, fałszował polskie pieniądze i dawał koncerta na flecie, który to instrument, według wyobrażeń pułkownika, wielce ubliżał naczelnemu dowódzcy wojsk, jako instrument wyłącznie pastuszy!.. Daléj pisał w tymże samym liście, że Szymek jest niepoprawny, gdyż nietylko stłukł mu turecką fajkę, która wprost ze Stambułu pochodziła, ale nawet nadwerężył przepyszny bursztyn, który niegdyś miał pochodzić z podarunków Sułtana jednemu z posłów zagranicznych. Potem następował szczegółowy opis polowania na wilka, który z lasów sąsiednich przybłąkawszy się, trapił owce i barany całéj okolicy, podobnie do najezdnika niszczącego kraj ogniem, orężem i podatkami! Tegoż wilka ubił sam pułkownik własnoręcznie, używszy do tego kniejówki po ś. p. księciu Woronieckim, na któréj były wyryte słowa koranu obok wizerunku N. Panny z Jasnéj Góry z podpisem: *sicuti in campo post pugnam*, co znaczy, tak jak na polu bitwy Turek z chrześcijaninem razem obok siebie leżeli!... Po wilku, którego skóra teraz pod nogami pułkownika spoczywała, przyszła koléj na gniadosza, ulubionego wierzchowca pułkownika, który żyjąc już lat dwadzieścia był na łaskawym chlebie i tylko raz na miesiąc miał ten zaszczyt nosić na sobie przez całą godzinę dowódzcę drugiego pułku ułanów dla obopólnéj korzyści, jak się wyrażał pułkownik i kommocji.

Między gniadoszem a obalem, czarnym kundysem, który u pułkownika był w wielkiem zachowaniu, jako pies roboczy a nie darmojad pokojowy, dano miejsce francuzce z Jedlnéj, przy któréj była szeroka dyssertacja o rysunku i muzyce, z czego wypływało, że francuzka ani jednego ani drugiego nie rozumie.

Osobne miejsce miała Miranda w tym liście, między parą białych wiedeńskich gołębi z czubami i pończochami, a klatką z kanarkami, które coś zmarmiały.

O Mirandzie rozpisał się pułkownik szeroko.

Był tego zdania że „dziewcze” po moim odjeździe znacznie „osowiało” bo nie ma z kim „bąków” zbijać, a szambelanowa jak patrzała marsem tak patrzy w narożnéj sali galerji.

Daléj pisał o Mirandzie, że każdym razem wypytuje go o mnie, że zawsze pyta kiedy przyjadę a często utrzymuje, żem prawdopodobnie o niéj zapomniał!

Raz napędził jéj niemałego strachu powiedziawszy żem się zastrzelił, poczem „dziewcze” wybuchło płaczem!

O panu Manswecie pisał, że jak dawniéj tak i teraz zawsze na trzy robry wista jednego wygrywa, co obliczywszy razem wykazuje zawsze korzyść na stronie pułkownika.

List ten dwuarkuszowy kończył się długą przemową niby od ojca, w któréj tenże wykładał mi zasady poczciwego żywota i dobréj sławy między ludźmi!

Późniéj następowało zaklęcie, abym tych zasad zawsze w życiu się trzymał i przedewszystkiem miał je na oku w tak zepsutem mieście, jakiem jest stolica! Błogosławieństwo Boga kończyło ten obszerny elaborat, poczem następywał wyraźny podpis pułkownika.

Przyznam się, że taki list był prawdziwą epoką w mojem życiu studenckiem. Czytałem go raz, drugi i dziesiąty—schowałem starannie do kuferka na drugi dzień wydobyłem go znowu i znowu kilka razy czytałem... i tak powtarzało się to działanie póki nowy list nie nadszedł!

Wtedy list stary został starannie zawinięty w gruby siwy papier, i opieczętowany spoczywał na samém dnie kuferka między bielizną.

I czemże są nasze dzisiejsze listy w porównaniu do takiego pomnikowego listu?

Takie listy można było drukować, jeśli osoba do któréj list był pisany, albo sam autor listu zasługiwał na uwagę publiczną!

Któżby drukował dzisiejsze świstki, które wzajem sobie posyłamy?...

Otóż śród nauki i czytania takich epistoł, zbiegał mi czas w stolicy. Jedno i drugie chroniło mnie, żem nie popadł w złe towarzystwa, w jakie zazwyczaj obfituje miasto stołeczne, i że wierny pozostałem zasadom, które na końcu każdego listu z domu odczytywałem.

Razu jednego pamiętam, bawiliśmy się w domu w teatr amatorski.

Nasz dyrektor wybrał nam, czy sam ułożył stosowną sztukę, w któréj byłem pierwszym bohaterem.

Treść sztuki była następująca:

Pewien niemiecki pan, który był rabusiem, tak zwany *Raubgraf* miał pyszny zamek i bardzo ładną młodą żonę. Podczas kiedy żona jego małą córeczkę mu powiła, napadł sąsiedni graf na niego, pobił, złupił zamek i biedną kobietę wraz dzieckiem wziął w niewolę.

Długi czas stał zamek zrabowany ruiną.

Po wielu latach syn pierworodny tegoż *Raubgrafa*, który tymczasem uzyskał od Cesarza Karola Wielkiego nowy zamek, przypomniał sobie klęskę poniesioną przez ojca i porwanie matki w niewolę.

Zebrał więc koło siebie swoich rycerzy i wyszedł w dalekie strony, aby szukać matki i siostry.

Po wielu przygodach i awanturach, po zwalczeniu zbójców i chytrych intrygą złych ludzi, wszedł wreszcie do pewnego dziewiczego lasu, w którym jeszcze żaden węglarz niepostał, żaden jeleń od oszczepu nie zginął, żaden ptak od strzały nie padł!

W tym lesie błądził przez trzy dni i trzy noce. Czwartego dnia spostrzegł ogień w jednéj jaskini.

Zbliżył się i obaczył starą kobietę, siedzącą w łachmanach przy ogniu. Przy niéj stała młoda dziewczyna i narzucała suchego drzewa do ognia.

Rycerz powitał staruszkę i prosił o wypoczynek.

Staruszka przyjęła z radością podróżnego rycerza, dała mu mleka od łani i leśnych owoców.

Rycerz pokrzepił się i zapytał staruszki, dla czego w téj stronie mieszka!

Staruszka odpowiedziała, że będąc długo w więzieniu straciła zupełnie kierunek okolicy, w któréj dawniéj w pysznym zamku mieszkała!

Rycerz nawzajem odpowiedział jéj, że szuka siostry swojéj, którą uprowadzono przed wielu laty. Matki nie spodziewa się już zastać przy życiu.

— A gdybym nawet i znalazł, mówił smutno rycerz, po czem mógłbym poznać, że to siostra moja lub matka?

— Matkę i siostrę swoję pozna człowiek od razu, odpowiedziała staruszka.

— Po czem? pytał zaciekawiony rycerz.

— Po czem?... po biciu serca!

— Po biciu serca?

— Gdy syn matkę i siostrę swoję prawdziwie kocha, to wtedy serce jego inaczéj bije, gdy je ujrzy!

— To ty musisz być matką, a ty siostrą moją, zawołał rycerz, bo serce moje od dawna się niepokoi!...

I wkrótce rzucił się rycerz w objęcia siostry i matki!....

Taka była treść tego dramatu.

Grałem rolę rycerza szukającego matki i siostry!

— Do stu furgonów! wołał pułkownik który był przy szturmie Sarragossy, kto ciebie nauczył tak dobrze grać tę trudną rolę!... Patrzcie, z jakim ogniem recytował wiersze, w których powiada, że znalazł siostrę, bo mu serce tak mocno do niéj bije!... Ej braciszku! Możeś ty sobie wyobraził, że to kochanka?....

Upłynął rok szkolny. Przyjechałem do domu na ferje.

W domu zastałem wszystko po dawnemu. Pułkownik robił swój specyfik długiego żywota i w dużych słojach rozdawał sąsiadom. Wyglądał czerstwo i rumiano, tylko prawa ręka działa mu więcéj niżeli dawniéj. Ojciec zajęty był posiewem nowego lasu, aby swój mały mająteczek polepszyć, Szymek jak zawsze tłukł pułkownikowi fajki tureckie i odbierał za to admonicje bolesne—słowem wszystko było jak przed rokiem!

I w Jedlnéj nic się od tego czasu niezmieniło.

Miranda powitała mnie z wielką radością i widoczną sympatją, tylko już nie z tą co dawniéj swobodą. Była wstrzemięźliwą z okazaniem swojéj sympatji, chociaż z widoczną radością przyjmowała z mojéj strony wszelkie względy, które jéj okazywałem.

Bawiliśmy się jak dawniéj, ale zabawa nasza była poważniejsza. Śpiewaliśmy i graliśmy razem, ale nie szafowaliśmy tak wiele słów do siebie jak dawniéj. Za to każde jéj słowo miało dla mnie teraz jakieś obszerniejsze znaczenie, każda grzeczność z jéj strony sięgała gdzieś daléj niżeli dawniéj.

Pułkownik jak zwykle grał, wista i jak dawniéj zawsze z trzech dwa robry wygrywał. Tylko prawa ręka niedopisywała mu, a sekretarz pana Mansweta często korzystał z tego zaglądając mu w karty, co pułkownika mocno irrytowało.

Po tym roku upłynął rok drugi i trzeci.

W położeniu naszem nic się nie zmieniło.

Dopiero przy końcu trzeciego roku miał mnie trafić cios nader bolesny.

Przyjechałem do domu na ferje.

Z początku zdawało się, że i ten rok przeminie tak samo jak poprzednie. Nadzieja jednak omyliła nas.

Pułkownik wyglądał dosyć zdrowo i czerstwo. Gniewało go tylko, że prawa ręka coraz więcéj nie dopisywała. Krył się z tem widocznie, a nawet często opryskliwie odpowiadał, gdy mu o tem wspomniano.

Pewnego dnia narobił był spory zapas specyfiku długiego żywota, wyżył z tego zapasu duże dwa słoje i potem do łóżka się położył.

Ojciec zatrwożył się chorobą przyjaciela, chciał zawezwać lekarzy ale pułkownik jak najwyraźniéj zakazał.

— Nie bójcie się, rzekł do nas, nieumrę ja tak łatwo jak wam się zdaje. Człowiek jest tak jak żołnierz, który wtedy tylko przegrywa, gdy go męztwo odbiegnie i zawoła: pardon! Śmierć jest naszym adwersarzem, z nią bój toczymy. Mierzy ona do nas, rąbie i strzela, ale dopóki człowiek sam o sobie nie zwątpi i pardonu nie prosi, póty może być pewnym, że mu się nic nie stanie!

Ucieszył nas wszystkich ten dobry humor pułkownika, który jednak coraz więcéj mizerniał.

Po kilku dniach, pomimo że pułkownik jeszcze pardonu nie żądał, zawołał ojciec lekarza, który niby dawny przyjaciel do domu przyjechał.

Pułkownik rozmawiał z nim wesoło, chociaż w rozmowie nie mógł dobrze ulubionych giestów swoich używać, bo palce i ręce nawet wypowiadały mu posłuszeństwo.

Lekarz wziął ojca na bok i powiedział, że tutaj już prawie żadnego nie ma ratunku, bo choroba pułkownika jest tak zwana *paralisir progressiva!*

Smutek wielki ogarnął nas wszystkich. Pan Manswet przyjechał nawet konno i długi czas kiwał głową i patrzał na pułkownika przez lornetkę.

Pułkownik był jednak wesoł jakby nic nie przeczuwał. Ojciec kłopotał się, jakby mu to niebezpieczeństwo zaraportować! Pani Alberta radziła xiędza przywołać, gdyż choroba taka może czasem zakończyć się bardzo nagle, a poczciwy człowiek nie powinien bez Boga puszczać się na drugi świat!

Trudna jednak była rada. Zdawało się, że pułkownik ani myślał o drugim świecie. Czasami nawet pogwizdywał sobie, jakby był najzdrowszy!

Po kilku dniach jednak chociaż był w dobrym humorze, zawołał na Szymka i kazał się ogolić.

Szymek patrzył czas niejaki na niego.

— I cóż patrzysz? krzyknął pułkownik, czy nie wiesz, że ile razy szedłem do kościoła, to zawsze czysto golony i świeżo ubrany! Dzisiaj wprawdzie jest moda, że kobiety w negliżach chodzą do pana Boga, niemyte i nieczesane, bo dopiero na wieczorne zabawy mydlą się, czeszą i ubierają! Jam dawny człowiek! Ja do pana Boga muszę być tak ubranym, jakbym stawał przed generałem!.. Szymek ogól mi brodę!

— Przecież pan pułkownik do kościoła nie pójdzie? zawołał zadziwiony Szymek.

— Błaźnie! krzyknął pułkownik, ja do pana Boga pójść nie mogę, ale Pan Bóg do mnie przyjdzie!

— Co też jegomość wygaduje!

— Głupcze. Ksiądz z Panem Bogiem do mnie przyjdzie!

Ksiądz z Panem Bogiem?

— Tak jest ksiądz z Panem Bogiem! Pójdziesz po księdza, gdy się ze mną sprawisz!. Tylko prędko ruszaj się, bo wiele czasu nie ma! Jak widzę każdy człowiek raz w życiu ma—*Jenę*! dodał zwrócony do nas.

Jakkolwiek ojciec bardzo sobie tego życzył, aby pułkownik wyspowiadał się i przyjął wijatyk święty, jednak słowa te pułkownika mocno nas wszystkich zasmuciły. Widzieliśmy, że pułkownik sam czuje swój koniec!

Podczas kiedy ojciec sam poszedł po proboszcza, Szymek zajął się ogoleniem pułkownika.

Pułkownik zrzędził jakby się na ślub ubierał!

Raz wołał, że Szymek niedobrze go ogolił, suwał lewą rękę po całéj twarzy i wskazywał miejsca gdzie jeszcze poprawić potrzeba było.

Szymek poprawił i każdy wskazany włosek golił, powycinał włosy koło uszów, regulował czuba.

Gdy w małem zwierciadle na wszystkie strony dobrze się oglądał, rzekł pułkownik do Szymka:

— A teraz podaj mi węgierski wosk! Wąsy trzeba podczernić, bo już mocno zblakowały.

Szymek wysmarował należycie wąsy, potem zakręcił je jak pułkownik zwykł je nosić.

Pułkownik przejrzał się w zwierciadle — i kontent był z roboty Szymka.

Potem kazał jeszcze sobie włosy zaczesać, czuba nagarnąć a łysinę zakryć.

W téj chwili ozwał się dzwonek na dziedzińcu.

— Teraz idź, rzekł pułkownik do Szymka, i módl się za moją duszę. W testamencie nie zapomniałem o tobie.

Szymkowi i nam wszystkim stanęły łzy w oczach. Wyszliśmy z pokoju..

Za godzinę otoczyliśmy znowu pułkownika.

Pułkownik wyglądał bardzo dobrze, piękny uśmiech igrał koło ust jego. W oczach i na czole była pogoda, w całéj twarzy spokój nadzwyczajny.

Gdyśmy w milczeniu na niego patrzali, zwrócił twarz do nas i rzekł:

— Nim umrę, muszę jeszcze wam wykryć tajemnicę specyfika na długie życie. Niechcę aby ta tajemnica ze mną do grobu poszła. Specyfik ten zawiera się tylko w dwóch słowach. Zyjcie poczciwie!

To rzekłszy położył lewą rękę na serce.. westchnął głęboko i zamknął oczy! Potem zbladł i był tak blady jak biała karta papieru...

Ojciec zbliżył się do niego — już nie żył.

Po śmierci pułkownika było mi smutno, bardzo smutno. Wszystkim nam zdawało się że wraz z pułkownikiem każdy z nas umarł w pewnéj cząstce..

Najbliżsi sąsiedzi przyjechali do ojca, i pan Manswet przyjechał znowu na koniu, a patrząc czas niejaki na pułkownika, pokiwał głową i odjechał. Ubył mu partner do wista!

W pierwszym żalu moim o niczem innem nie myślałem jak tylko o pułkowniku. Nie mogłem nawet wierzyć, żeby ten człowiek który tyle dał mi z swego życia, już nie był między żyjącymi!

Za trzy dni dopiero podczas pogrzebu przypomniałem sobie, że jest ktoś który obok pułkownika jest mi bardzo drogim w życiu mojem..

W otwartym powoziku z panią Albertą przyjechała na pogrzeb Miranda..

Gdym ją ujrzał, przestało serce moje płakać, i zdawało mi się że czuję ten sam ożywczy płomień jaki czułem w téj sali narożnéj galerji..

Rzeczywiście przyszedłem do siebie.

Miranda miała czarną sukienkę na sobie i białą, różę we włosach.

Patrzała na mnie przez łzy, a w tem wejrzeniu było tyle dla mnie jakiegoś słodkiego nektaru, żem nagle zmężniał, i z głową dumnie do góry podniesioną szedłem wraz z ojcem za trumną nieboszczyka...

Zdawało mi się, że żaden smutek, żadne nieszczęście nie powinno mi głowy ugiąć do ziemi, jeżli patrzy na mnie ten anioł mój opiekuńczy, tak jak na zroszone kwiatki patrzy słońce majowe!.

Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że śmierć pułkownika zmienia między innemi i mój stosunek do domu pana Mansweta.

Ojciec mój rzadko bywał u pana Mansweta. Był on gospodarstwem zanadto zajęty, a zresztą między nim a panem Mansewetem była wielka różnica majątkowa. Za dumny aby być tylko wazalem bogatego sąsiada, a zanadto oszczędny, aby wszedłszy z nim w bliższe stosunki, podnieść swój dom na wyższą stopę.

Widywali się więc bardzo rzadko i to tylko przy zdarzonéj okoliczności.

Do odwiedzin więc Jedlnéj nie miałem teraz towarzysza. Czem jednak sam byłem, o tem przekonałem się zaraz po śmierci pułkownika.

W kilka dni bowiem po pogrzebie, udałem się do Jedlnéj. Pan Manswet siedział w ganku i czytał francuzką gazetę.

Gdy mnie zobaczył, poprawił lornetki i rzekł:

— Zmęczyłeś się przechadzką—idź do lokaja niech ci da owoców!

Nie wiedziałem sam, co z sobą zrobić. Powiedziałem, że nie jestem zmęczony i że owoców nie pragnę.

— To spocznij sobie! odpowiedział i czytał daléj gazetę.

Usiadłem z daleka na krześle. Zdawało mi się, że za lada chwilę wyjdzie Miranda i że jak dawniéj będziemy się razem bawić.

Miranda jednak nie wyszła.

Nie wiem, czy francuzka zatrzymała ją przy lekcyi, czy pan Manswet niepozwolił jéj bawić się teraz ze mną, czy też może nie wiedziała, że siedzę na ganku.

Siedziałem godzinę — Mirandy nie było. Pan Manswet spokojnie czytał gazetę.

Położenie moje zaczęło mi być nieznośnem. Czułem, że takie wysiadywanie było niestosownem. Łączyła się do tego drażliwość młodzieńcza, która mi szeptała do ucha, że takie traktowanie ze strony pana Mansweta, było dla mnie ubliżającem.

W dziwnem zaślepieniu mojem, nie wiedziałem że pan Manswet nie mógł zemną inaczéj postąpić. Nigdy bowiem nie byłem u niego w charakterze gościa, tylko zawsze dodatkiem do pułkownika. Gdy tego nie stało, byłem tam niepotrzebnym. Cóż miał pan Manswet do mówienia z młodym chłopcem, który zaledwie miał rok szesnasty?

Po godzinie wstałem z krzesła i ukłoniłem się czapką panu Manswetowi. Pan Manswet kiwnął głową, wspomniał coś o orzechach które mógłby mi dać lokaj na drogę—i czytał daléj gazetę!

Smutny, rozżalony, wracałem do domu.

W samotnym parowie zatrzymałem się, usiadłem na starym pniaku i zacząłem rzewnie płakać!...

Nie wiedziałem, że to był pierwszy moment téj bolesnéj walki, jaką każdy człowiek mniéj więcéj przebywać musi w dojrzałych stosunkach życiowych! Nie wiedziałam, że to pierwszy cierń, który kiedyś zwije się na mojéj głowie w koronę cierniową, a który tylu moim poprzednikom wpił się nieraz aż do mózgu!.. Nie wiedziałem, że to pierwszy strzał walki, jaką od stworzenia świata prowadzi z sobą społeczeństwo!...

Płakałem rzewnie i długo.

Teraz dopiero pojąłem stratę pułkownika! Bez niego byłem niczem, to czem dotąd byłem w domu pana Mansweta, pochodziło od pułkownika, tak samo jak światło xiężyca pochodzi od słońca.

O jakże to daleko było do tego, abym mógł być samym sobą i bez pułkownika mieć u ludzi dobre przyjęcie! Jakże szeroko rozpościerał się przedemną ten horyzont, na krańcu którego miałem stanąć, aby dopiero coś znaczyć u ludzi?...

Późnym wieczorem wróciłem do domu.

Ojciec widział mój smutek, ale o nic mnie nie pytał! Prawdopodobnie sądził, że to smutek po pułkowniku, który nas wszystkich trawił!

Tak zeszedł mi cały tydzień.

Codziennie zrywałem się, aby iść do Jedlnéj, ale po krótkim namyśle postanawiałem téj wycieczki zaniechać.

Miałem urazę do pana Mansweta za ostatnie przyjęcie, a na samą myśl, że podobne przyjęcie powtórzyć się może, płonąłem wstydem.

Łamałem sobie głowę, jakimby to fortelem dostać się do Jedlnéj i z Mirandą kilka słów zamienić, ale fortelu takiego w żaden sposób wymyślić nie mogłem!

Otóż niebawem dopomógł mi do tego przypadek.

Ojciec otrzymał jakąś obywatelską kurrendę, którą potrzeba było posłać panu Manswetowi.

— Ja zaniosę ojcze! rzekłem i chwyciłem z radością za czapkę.

Ojciec patrzał na mnie czas niejaki, a potem rzekł:

— Nie trzeba! Zaniesie Szymek!

Nic na to ojcu nie odpowiedziałem, bo pułkownik przyzwyczaił mnie do posłuszeństwa bezwzględnego.

Posłuszeństwo jednak to było teraz wystawione na próbę bardzo niebezpieczną.

Przyszedł do mnie sam kusiciel w osobie Szymka.

Powiedział mi w sekrecie, że skaleczył sobie nogę w lesie będąc na polowaniu bez wiedzy ojca—a gdyby to się wydało, byłby bardzo nieszczęśliwym.

Uczynił mi więc propozycję, abym kurrendę do Jedlnéj zaniósł, a on potem swoją ręką pokwitowanie pana Mansweta ojcu doręczy.

Szymek prawdopodobnie miał jakieś inne plany na ten dzień, ale w téj chwili niepodejrzywałem go; bo myśl przez niego rzucona bardzo mi się podobała.

Nie namyślałem się więc długo, tylko czempręd́zéj potajemnie wyniosłem się z domu.

Byłem tak szczęśliwy jak nigdy! Po tak długiéj przerwie, po katastrofie która usposabiała nas do sentymentalnéj rozmowy, obiecywało mi to widzenie się dzisiejsze z Mirandą rajskie rozkosze!

Tym razem byłem już oględniejszym. Nie poszedłem wprost do ganku, gdzie znowu mógłbym zastać pana Mansweta czytającego gazetę i podobnego jak zeszłym razem doznać przyjęcia.

Wszedłem więc od ogrodu wprost do salonu.

Ale cóż tu ja ujrzałem?

Miranda siedziała nu małéj kanapce, trzymała jakąś książkę w ręku i—rzewnie płakała.

Biedne dziecię zanosiło się od płaczu. Łkała głośno, a łzy obfite płynęły z jéj pięknych oczu.

Gdy mnie obaczyła zerwała się szybko, a radość jak błyskawica osiadła na jéj spłakanéj twarzy...

Ale w téj chwili zaskrzypiały buty—pan Manswet wyszedł z pobocznego pokoju.

Pan Manswet widział mnie idącego przez ogród.

Przywitałem go czempręd́zéj i podałem kurrendę.

Pan Manswet wziął kurrendę, ale drugim okiem spojrzał na Mirandę, która prędko oczy ocierała.

— Czyż ty płakała? zapytał pan Manswet z marsem.

— Nie tateńko! Ja nie płakałam! odpowiedziała szybko Miranda, ocierając resztki łez z pięknéj twarzy.

Poczciwe jednak jéj szerduszko nie mogło znieść tego niewinnego kłamstwa, a może też jeszcze i zapas łez był pod powieką, które koniecznie wypłakać trzeba było; dosyć że po tych słowach zaprzeczających, wytrysnął z jéj oczu obfity strumień łez, poczem na pierś ojca się rzuciła i głosno płakać zaczęła.

Pan Manswet patrzał chwilę, jakby nie wiedział co się stało. Na jéj czole zbierała się chmura.

Po chwili sięgnął po książkę, ktorą Miranda w ręku trzymała i spojrzał na tytuł.

Na pierwszéj karcie stał napis, który z boku sam wyczytałem: „Julja i Adolf".

— Ach to takie smutne, tateńko! Jakże nie płakać nad nieszczęśliwą Julią?

Pan Manswet zatrząsł się ze złości. Zawołał francuzkę.

— *Madmoiselle Antoine*! rzekł do niéj po francuzku; dla czego pani nie uważasz na Mirandę, aby podobnych książek do ręki nie brała! W ogóle niechcę aby czytała książki polskie!.. Zkąd dostała się ta książka do niéj?..

I spojrzał na mnie surowo.

Spłonąłem cały.

— Tateńko! zawołała szybko Miranda, tę książkę wzięłam sama z pokoju cioci!

Pan Manswet szerokiem krokiem podążył do pokoju pani Alberty.

Za chwilę słyszałem z tamtąd głośną rozmowę, czy raczéj kłótnię z panią Albertą,

— Co chcesz mi z dziecka zrobić! wołał w gniewie pan Manswet, czy chcecie aby była podobną do matki, która umiała tylko dziadom zupę rumforcką dawać, dla wiejskich dzieci koszule robić i ze służbą godzinki śpiewać?. Czy niedosyć już nieszczęścia, żem życie moje skwasił, nie mogąc się z nieboszczką pokazać na wielkim świecie, bo tak tam wyglądała jak ja w meczecie tureckim!.. Przecież zważcie, że z Mirandy nie chcę baby szpitalnéj, ale chcę aby ona naprawiła to co matka popsuła!.. Gdyby przynajmniéj była to książka angielska lub francuzka! a ta swojska bazgranina czegoż jest warta!.. Czy my mamy jakie znakomite talenty, czy co?...

Pani Alberta nie została dłużną odpowiedzi.

Mówiła żywo, a nawet z uniesieniem. Osobliwie stawała w obronie nieboszczki, która była jéj siostrą stryjeczną. Wyliczyła jéj zasługi, chwaliła bogobojność, a przytem napomknęła o pewnych wadach z jego strony, o błędach młodości, które nieboszczkę przedwcześnie do grobu zapędziły.

Wywiązała się ztąd scena za sceną dla mnie bardzo przykra. Nie wiedziałem co zrobić.

Francuzka słysząc te kłótnie, wzięła Mirandę za rękę i szybko wyszła z nią z salonu.

Zostałem sam jeden. Moje położenie było z każdą chwilą drażliwsze.

Pani Alberta wpadała w coraz większy zapał, i zagroziła w końcu, że dnia jutrzejszego dom pana Mansweta opuścić.

— Przyjmuję tę groźbę, odparł pan Manswet drżącym od gniewu głosem — i zaraz dzisiaj piszę do Petersburga.

Rzekłszy to, szerokiemi krokami przeszedł wzdłuż całą salę. Na mnie wcale nie spojrzał, tak jakby mnie tam nie było.

Nie mogłem dłużéj znieść mego położenia — zwróciłem się ku drzwiom i wyszedłem.

W odludnym parowie siedziałem znowu na starym pniaku i płakałem.

Pobyt w domu ojca był teraz dla mnie prawdziwą męczarnią. Myślałem że oszaleję!

Był to dla mnie czas odpoczynku. Nie ciążył nademną żaden obowiązek nauki. Nikt mnie do książki nie napędzał, nikt nie żądał odemnie jakiegoś elaboratu!

Taki wypoczynek był dla mnie teraz wielkiem nieszczęściem!

Gdybym był zmuszony pracować, gdyby stary pułkownik był mnie zatrudnił tem lub owem, jak to zawsze zwykł czynić, położenie moje byłoby może daleko znośniejsze! Smutek mój byłby się uśmierzył pracą i zajęciem, a reszty dokonałaby młodość i zdrowie..

Próżnowanie moje powiększało jeszcze to wszystko co mnie dolegało. Po całych dniach chodziłem po polach i lasach, i nosiłem z sobą moją boleść, któréj nawet nazwiska dać nie umiałem.

Płacząca Miranda stała mi ustawicznie przed oczyma! Jakaż ona piękną była w tym płaczu? Nie był to płacz który twarz wykrzywia, który wdzięki kobiecie oszpeca i robi z niéj przykrą karykaturę!

Kobieta może umieć płakać!

Miranda nie uczyła się wprawdzie téj trudnéj sztuki, ale jakoś doszła do niéj instynktem.

(d. c. n.)

BOHATER PIÓRA

PRZEZ

E. WERNERA,

TŁOMACZONE Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Ja przecież do nich nie należę i nie jestem także ich przyjacielem. Gdyby to co mam na celu, dla nich miało być spełnionem, te uzyskałbym pozwolenie przejścia przez ich czaty. Że zaś przymuszony jestem szukać pomocy pana, to powinno być dowodem przekonywającym, że jako francuz, takiéj zdrady pan dopuścić się możesz. Mnie drogę tę pokazać pan powinieneś.

Dowodzenie było trafne, a nakazująca stanowczość z jaką amerykanin występował, nie chybiła odpowiedniego wrażenia na starym, jednakże przezornéj nieufności swojéj nie zaniechał jeszcze.

— Pan sam chce iść w góry?

— Nie inaczéj.

— I koniecznie dzisiejszéj nocy? Więc pan wiesz pewnie także, co....i kogo pan tam znajdziesz?

— Niewątpliwie! odparł Alison, który uznał właściwem udawać wtajemniczonego,co mu się się też zupełnie powiodło. Udało mu się w starcu podburzyć francuza i posłużyć się jego nienawiścią dla nieprzyjaciela. Murgrabia wiedział jak najlepiéj, co owéj nocy w górach groziło; okoliczność zatem, że cudzoziemiec chciał sam i bez wiedzy niemców tam się udać, przekonała go, że z istotnym sprzymierzeńcem miał do czynienia. Każdy inny zginąłby w podobnéj wycieczce,—dla tego więc przestał się dłużéj opierać.

Jest tu rzeczywiście taka droga, rzekł tłumiąc jeszcze bardziéj i tak już ciche szeptanie swoje: Idzie ona przez góry do L. Niemcy nie znają jéj wcale, lecz gdyby ją nawet przypadkiem odkryli, dla nich kończy się ona zaraz w pierwszym wąwozie z prawéj strony. Że ona za tym wąwozem daléj się jeszcze ciągnie, i przez las zostaje w związku z naszym parkiem, o tem oni wiedzieć nie mogą, gdyż tak wejście jako i wyjście są zanadto w rozpadlinach skał i krzakach ukryte; jest to droga, łącząca nas z naszymi wojownikami.

W oczach Henryka błysnęło dzikie zadowolenie. Lecz Dobrze, ale jakże ja znajdę tę drogę?

— Pójdziesz pan do parku, a tam główną aleją, która nie jest obsadzoną, gdyż pasterunki rozstawione są w szerszym zakresie—po lewéj stronie znajdziesz statuę Flory. Miniesz ją pan i wejdziesz do tuż przy niéj leżącéj groty. Nie przytyka ona tak szczelnie, jak się pozornie wydaje do ściany skały,—jest to właśnie wyjście do lasu; następnie pójdziesz pan wązką ścieżką, przez krzaki, jest ona tylko jedna, zatem omylić się nie można i za dziesięć minut dostaniesz się pan do wąwozu, który z lewéj strony dotyka drogi górskiéj, przy wysokéj płaskiéj skale, na któréj jedna tylko wysoka sosna stoi. Tam, znajdziesz się pan już po za łańcuchem posterunków i dosyć nawet daleko od nich, ażeby cię dostrzedz miały.

Henryk słuchał z natężoną uwagą, jak gdyby chciał każde słowo wyryć w swojéj pamięci; nareszcie odetchnął głęboko, wyraz dzikiego tryumfu błysnął w jego oczach i wziąwszy banknotę ze stołu,podał ją francuzowi.

— Dziękuję bardzo! Bierz pan!

Stary wahał się chwilę. Ja to nie dla pieniędzy uczyniłem, panie! rzekł poważnie.

— Wiem o tem! Uczyniłeś z nienawiści dla nieprzyjaciela! Bądź pan spokojny, a w ustach Alisona zimne drgnęło szyderstwo. Ja waszego wroga dzisiaj nie bronię, to pewna! Ale otrzymana wiadomość droższą mi jest niż ten papier, weź go pan zatem, bo on nie obciąży twego sumienia.

Murgrabia spojrzał jeszcze raz na bilet bankowy, rozważając, że niktby tak znacznéj summy nie poświęcał dla prostego tylko narażenia osoby, i w końcu przyjął ofiarowane pieniądze, wymówiwszy kilka cichych słów podziękowania..

Już Henryk miał wyjść, kiedy obrócił się raz jeszcze i spoglądając na starego, śmiało i groźnie dodał:

— Współudział pana w téj sprawie jest mi rękojmią jego milczenia, którego zalecać pewnie nie potrzebuję. Niemcy rozstrzelaliby pana, gdyby się dowiedzieli, żeś mi dopomógł przebyć ich stanowiska.

— Nie wątpię o tem, panie!

— Jeżeli więc nad ranem powrócę, to dostanie się moje w góry było niepodobnem, a ja naturalnie noc przepędziłem w zamku. Nic innego powiedzieć pan nie możesz.... żegnam pana.

W pokoju Waltera także jasne płonęło światło, lecz wracając, nie znalazł w nim nikogo prócz Fryderyka.

—Doktór Behrend czekał tu bardzo długo na pana porucznika, rzekł Fryderyk, ale został nagle wezwany do wsi. Zdaje mi się, że bardzo źle jest z naszym kapralem Braunem.

Walter zdawał się być nieprzyjemnie tą wiadomością dotknięty. Już odszedł doktór? Ah! chciałem, się jeszcze z nim rozmówić.

— I pan doktór pragnął tego koniecznie. Powiedział mi, ażebym przygotował płaszcz i pistolety, gdyż pan porucznik jeszcze tego wieczoru wyjść z tąd musi i...w głosie jego przebijała się wyraźna niespokojność i obawa, „i pan mnie nie weźmie z sobą, jak zawsze, kiedy pan na patrol idzie"?

— Nie, Fryderyku, tym razem nie! odpowiedział Walter w roztargnieniu. Przeszedł się kilka razy po pokoju, potem stanął nagle. Wszakże to wszystjedno! rzekł zcicha do siebie. Dla czego mu nie powiedzieć, skoro Roberta uwiadomić miałem! Fryderyku!

— Jestem, panie poruczniku.

— Być może, że dzisiejszéj nocy zostaniemy napadnięci. Czy otrzymaliście rozkaz być przygotowanymi na alarm?

— Otrzymaliśmy. Ja mam od dziesiątéj z dwoma, innymi ludźmi patrolować w parku. Pan kapitan mówił, że to dla bezpieczeństwo tylko, gdyż on nie jest strzeżony.

— Dobrze! W każdym razie zobaczysz jeszcze pierwéj doktora; zależało mi na tem bardzo wiele, ażeby się z nim rozmówić, lecz muszę się oddalić; a do wsi pójść już nie mogę. Oświadczysz mu więc moje zlecenie słowo w słowo tak jak ja ci powiem, ale tylko jemu jednemu, nikomu więcéj, czy słyszysz?

— Nikomu więcéj.

Dalsze słowa przychodziły na usta Waltera z niesłychaną trudnością; zdawałoby się, że o każde z nich ciężką z sobą samym walkę staczać musiał.

— Jeżeliby do bitwy przyszło, doktór jest jeden tylko co w niéj udziału mieć nie potrzebuje. Jednakże francuzcy wolni strzelcy, to zbieranina, dla któréj nie ma nic świętego. Więc powiesz mu w mojem imieniu, że...włożyłem na niego obowiązek bronienia wszelkiemi siłami panny Forest.

— Téj panny amerykańskiéj? powtórzył Fryderyk z zadziwieniem.

— Tak! Walter zawahał się znowu; lecz w chwilę potem, zebrawszy całą przytomność umysłu, mówił szybko i namiętnie, jakby każdy wyraz palił jego usta: „Powiesz mu, że domagam się od niego téj przysługi, jako ostatniego obowiązku serdecznéj przyjaźni. Powiesz mu, że Miss Forest była najdroższą dla mnie istotą na całym swiecie! Powiesz, że dla przjaciela, nawet kosztem własnego życia bronić ją powinien!

Fryderyk stał zdumiony, oniemiały, przed swoim panem. Więc to takie miało być rozwiązanie téj zagadkowéj nieprzyjaźni pomiędzy jego panem a młodą amerykanką! Myśląc o tem wszystkiem, biedny chłopak dostał prawdziwego zawrotu w głowie, nie wiedząc co myśléć o tak niezrozumiałem dla niego zawikłanin całéj sprawy.

— Załatwisz więc to wszystko, jak ci powiedziałem słowo w słowo?

— Wedle rozkazu, panie poruczniku! odpowiedzia Fryderyk machinalnie. Stał on jeszcze ciągle jak w ziemię wrosły na swojem miejscu, przypatrując się jak pan jego oglądał pistolety i jak płaszcz zarzucił na siebie. I w chwili dopiero, kiedy ten do drzwi się już zbliżał, rzucił się za nim, wołając:

— Panie professorze.

Walter stanął zdziwiony i obejrzał się. W ciągu całéj wojny Fryderyk ani razu go jeszcze tak nie nazwał. Nigdy on nie przepominał wojskowego tytułu swego pana, którego też zawsze z prawdziwą roskoszą i pewnym naciskiem wymawiał. Zkądże mu od razu przyszło to przypomnienie z B? Zdziwiony tak dawno niesłyszaną nazwą swoją, Fernow spojrzał w twarz swego dawnego sługi; była ona niezmiernie blada, i dziwny niepokój malował się w jego zwykle bez żadnego wyrazu rysach.

— Panie profesorze, w tych dwóch wyrazach przebijała się jakaś błagająca trwoga. „Czy pan rzeczywiście sam pójść musisz? Wziąść mnie pan nie możesz z sobą? Bezwarunkowo nie możesz?

— Nie, nie mogę! rzekł Walter stanowczo i uroczyście. Co tobie przychodzi do głowy, Fryderyku? Przecież ty dzisiaj masz służbę, a zdawałoby mi się, że w ciągu wojny powinnibyśmy się już wszelkiéj odzwyczaić lękliwości.

Fryderyk smutno odetchnął. Ja nie wiem, ale przez całą wojnę nie było mi tak ciężko na sercu, jak teraz właśnie. Dawniéj nie czułem nic podobnego, teraz zaś na myśl gdzie pan masz iść, zimny dreszcz mnie przejmuje. Panie profesorze! dodał rozpaczliwie, ja pana już pewnie nigdy nie zobaczę.

Walter w milczeniu spojrzał na niego. Dziwna rzecz!Nawet ta silna, tryskająca zdrowiem natura, dla wpływów duchowych mało albo wcale nieprzystępna, uległa w téj chwili jakiemuś przeczuciu. Czy to było przywiązanie do swego pana, które w niéj ten instynkt wywołało? Fernow jednakże usiłował żadnego nie okazać rozczulenia; wiedział on, że najmniejsza oznaka tkliwości wyprowadzi tego olbrzymiego żołnierza z wszelkiego umiarkowania i zamieni go w rzewnie płaczące dziecię.

— Nierozsądny jesteś! rzekł na pół z gniewem, starając się jednak uśmiechnąć zarazem. Czyliż to będzie pierwszy raz, że się wystawię na jakieś niebezpieczeństwo? Wstydź się Fryderyku, zdaje mi się nawet, że ty płaczesz!

Fryderyk nic odpowiedział, tylko swoje jasne niebieskie oczy wlepił w oblicze swego pana; widział on z dziwnie zaostrzoną w téj chwili siłą spostrzegawczą, że wzrok jego nie zgadzał się z jego słowami widział w nim pożegnanie i od razu znikła wszelka subordynacja, wszelkie wojenne nawyknienia, których przez tyle czasu tak ściśle przestrzegał; widział tylko przed sobą swego ukochanego professora, którego tylokrotnie we wszystkich chorobach pielęgnował, którego strzegł i pieścił jak matka swoje dziecię, który był celem i treścią całego jego życia. Rozpłakał się w końcu głośno i gorący strumień łez popłynął z jego oczów.

— Panie profesorze, zawołał boleśnie: oby Bóg dał, ażebym ja w miejsce pana został zastrzelonym! Dzi-

siejszej nocy stanie się jakieś nieszczęście, wiem o tem! Jeden z nas zginie niezawodnie!

Walter uśmiechnął się smutnie i łagodnie, on wiedział kogo ten los spotka, lecz rozrzewniające przywiązanie poczciwego chłopaka, domagało się praw należnych mu w chwili rozstania. To też zapomniał teraz o wszyskiem innem, ale nie o tych długich nocach choroby, w ciągu których Fryderyk przesiadywał przy jego łóżku, z wiernością i poświęceniem, których niczem ani wynagrodzić nie można, a—w takich chwilach upadają i wyższe nawet zapory, zapełniają się większe nawet otchłanie—oficer objął obu rękoma szyję swego sługi, a potem gorąco, serdecznie uścisnął dłoń jego.

„Dobranoc, Fryderyku!" powiedział głosem rzewnym. „Cokolwiek wypadnie, pamiętałem o tobie; doktór Stefan ma w swoim ręku potrzebne ku temu papiery. A teraz,"... dodał, wyrywając się z objęć sługi, puść mnie, muszę już iść!"

Fryderyk był posłuszny, puścił zwolna rękę, którą w obu dłoniach swoich silnie ściskał i cofnął się o parę kroków. Walter skinął jeszcze raz głową na pożegnanie i przyspieszonym biegiem wyszedł z pokoju. Z głową zwieszoną zbliżył się biedny chłopak do okna, i widział wysoką płaszczem otuloną postać przechodzącą przez oświetlony księżycem taras zamkowy, i słyszał coraz więcéj oddalające się kroki, których odgłos zamilkł nareszcie, i znowu gorzkie łzy popłynęły z jego oczów, bo czuł z nieomylną pewnością, że ukochanego pana swojego widział po raz ostatni!

— Miss Jenny, otwórz pani! Na Boga, nie odprawiaj mnie pod żadnym pozorem, idzie bowiem o rzecz niezmiernie ważną, muszę koniecznie widzieć się z panią!

To mówiąc, kołatał Atkins silnie do pokoju Jenny i jedynie przez swoją natarczywość wyjednał, że mu otworzono. I tu paliło się światło; Jenny była jeszcze ubraną, a nietknięte łóżko przekonywało, że nie myślała wcale o spoczynku. Postąpiła ku niemu z twarzą smutną, jakby pytającą o przyczynę tak niewczesnéj wizyty; jéj oczy były zaczerwienione skutkiem wewnętrznego wzruszenia, ale śladów łez nie było w nich wcale. Jenny nie znała płaczu, téj częstokroć jedynéj, niczem nie dającéj się zastąpić pociechy kobiety; oduczyła go się ona do swoich lat dziecinnych. Łkanie, z jakiem niegdyś przy łożu konającego ojca upadła, przy którem ją niegdyś siły opuściły, wstrząsnęło nią silnie, gwałtownie, spazmatycznie, ale bez łez; jéj twarda żelazna natura nie znała nawet tego znamienia kobiecéj miękkości, ona wszystko tak znosiła jak jej ojciec, jak niczem nieugięty człowiek żelaznéj woli.

Atkins nie dał jej nawet wypowiedzieć pytania, jakie z ust jej wyjść miało. „Jest wielkie niebezpieczeństwo!" rzekł nagle. „Chciałem je odwlec, odwrócić; lecz przedstawia się ono większem niżelim myślał. Władza moja już się skończyła, teraz pani musisz wystąpić."

— Jakie nieszczęście? zapytała Jenny bolesnem zdjęta przeczuciem. „O czem pan mówisz?"

„O Alisonie i panu Fernow! Spotkali się z sobą, Henryk wyzwał niemca, a ten odmówił mu zadosyć uczynienia, ponieważ w ciągu wojny bić się nie może i nie powinien. Henryk knuje zemstę—oni nie powinni się już po raz drugi widzieć z sobą."

Jenny zadrżała na tę wiadomość, lecz opamiętała się prędko; cierpka gorycz przebijała się w jéj głosie.

—Słusznie pan powiedziałeś! Oni nie powinni więcéj stanąć jeden przeciwko drugiemu; walka pomiędzy nimi i o *mnie*, byłaby więcéj niż morderstwem! Henryk jest w błędzie; potrzeba tylko jednego słowa aby go z jego złudzenia wyrwać; chciałam to jutro dopiero uczynić, ale teraz nie ma chwili czasu do stracenia. Wezwij go pan natychmiast do mnie!

Atkins wstrząsnął tylko głową. „To właśnie! Henryka nigdzie znaleść nie można; szukałem go już po całym zamku i napróżno."

—A Walter? Na miłość boską, gdzie jest Walter?

Atkins zmarszczył brwi niechętnie. Walter! Więc to oni oboje już tak daleko zaszli, a Henryk miałby pomimo tego być w błędzie!

— Pan Fernow poszedł w góry, odpowiedział poważnie. W interesie służbowym, jak utrzymuje, i poszedł sam. Henryk wie o tem. Jeżeli się za nim udał,—Jenny, nie potrzebuję pani mówić, czego się w takim razie obawiać można.

Miss Forest stała przez chwilę martwa jak posąg, lecz wkrótce wyrwała się z tego odrętwienia i cała śmiałość postanowienia powróciła jéj nagle.

— Ja znam Henryka! On nie może odejść, dopóki się z nim nie zobaczę. Bądź co bądź, musimy go ściągnąć napowrót. Zdaje mi się, i przyłożyła rękę do czoła, usiłując mimo odurzającéj ją trwogi, zebrać swoje myśli, zdaje mi się że jedno tylko przejście prowadzi ztąd w góry. Wszakże nam tak dzisiaj rano mówiono w P.?

—Jedno tylko, a i to niemcy obsadzili; ale tą drogą Henryk nie udałby się; on wie, że straże odprawiłyby go bezwarunkowo.

— To on w parku tylko być może, i z pewnością tam jest! Pójdę go poszukać.

Atkins usiłował odwieść ją od tego zamiaru. —Ależ na Boga! zawołał, pomyśl pani, że jesteśmy w obcym kraju, śród działań wojennych że noc jest, Pani żadną miarą nie możesz sama..."

Jenny nie słuchała go wcale, porwała ze stołu swoje okrycie podróżne i zarzuciła je na ramiona.

—Zostań pan tutaj, panie Atkins! Mogłoby to zwrócić uwagę, gdybyśmy wszyscy troje zamek opuścili. Pan z Henrykiem nic nie zrobisz, nie przyszedłby z tobą, więc sama muszę z nim pomówić.

Wyszła już z pokoju i ze schodów zbiegła, zaczem się Atkins zebrał na dalsze przedstawienia. Zdjęty gniewem, mimowolnie zacisnął pięści.

— Toż to prawdziwie piekielna noc! Ten modrooki niemiec chyba nas wszystko troje o śmierć przyprawi! Ale Jenny ma słuszność, ja nie powinienem ztąd wychodzić, a zresztą—lepiéj że oni sami pomiędzy sobą się załatwią! Powinnaby go w parku znaleść, boć on gdzieindziéj być nie może!"

Obszerny lesisty park zamku S. leżał śród jasnego blasku księżyca w najgłębszem pogrążony milczeniu, które przerywały tylko od czasu do czasu ciężkie kroki patrolu, przechodzącego po nim z rozporządzenia kapitana. Patrol ten, skończywszy swój rond w głównych alejach, bez spotkania czegokolwiek podejrzanego, rozdzielił się teraz na jego końcu stosownie do otrzymanego rozkazu, ażeby pojedynczo wracać ku zamkowi i tym sposobem nawet odleglejsze ścieżki i klomby ściśle przejrzeć; na Fryderyka przypadła lewa część parku, dwaj inni żołnierze poszli prawą stroną i środkiem, z zamiarem zejścia się znowu pod tarasem.

Fryderyk, z bronią na ramieniu postępował zwolna we wskazanym sobie kierunku; nie potrzebował on się wcale spieszyć, bo nic nie zależało na czasie, a mianowicie nie potrzebował też iść pocichu, co zawsze było dla niego przykrą i trudną rzeczą. W czasie patrolu, jakeśmy już powiedzieli, nie okazało się nic podejrzanego. Młody żołnierz nie był zdolny do wykonywania zleceń, któreby szczególnéj wymagały intelligencji, lecz wykonanie rozkazu trzymania oczów i uszu otwartych, przetrząśnienia ściśle całéj miejscowości i zameldowania najmniejszego wypadku w zamku, to rozumiał on doskonale i umiał wypełnić z całą sumiennością. Rozkaz taki miał jeszcze i to dobrego w sobie, że odrywał go od bezpożytecznego i nieprzynoszącego mu żadnéj pociechy badania przyczyn rozłączenia się z panem: służba bowiem wymagała największéj bazczności, i nie zostawiała mu czasu do smutnych przeczuć i tym podobnych rozmyślań.

Przeszedłszy już część parku, znajdował się właśnie przy statui Flory, któréj biała, przez księżyc oświetlona marmurowa postać, wznosiła się wśród obszernego trawnika. Miał on sobie oprócz tego szczególniéj zalecone, ażeby nie pominął znajdującéj się w jéj pobliżu groty muszlowéj, bez zajrzenia do takowéj: zwrócił się zatem w tym kierunku i właśnie przybywszy do statui, zatrzymał się nagle i karabin do strzału przymierzył; ale zanim się jeszcze odezwał, złożył go znowu na ramię. Długa jasna suknia odziana krótszym płaszczykiem, przekonała go, że przesuwającą się śród krzaków postacią, była jakaś kobieta, a gdy ta, przy świetle księżyca wyraźniéj się teraz pokazała, poznał w niéj Miss Forest.

Dawne podejrzenie Fryderyka zbudziło się na nowo; nie zaniechał on dotąd myśli uporczywie snującéj się po jego głowie, że cudzoziemcy musieli być szpiegami, przyczem, owa „amerykańska panna" wydawała mu się jako najniebezpieczniejsza z trojga. Nie zważał na to, że była kobietą; pod względem rozumu wyrównywała ona każdemu mężczyźnie, a to samotne i dziwne spotkanie wzmocniło jeszcze bardziéj podejrzenie Fryderyka.

„Co tu pani robisz?" zapytał z całą nieufnością. „Powinnaś pani być ostrożniejszą! Gdyby nie suknia pani, i gdybyś mi nie była odpowiedziała jak należy, byłbym strzelił do pani."

Jenny nie zwróciła uwagi na tę groźbę, zbliżyła się do niego i stanęła tuż przy nim, Ah! to pan Fryderyk! Dzięki Bogu, że przynajmniéj ciebie znajduję!"

Fryderyk zdawał się nie bardzo chętnie przystawać na to „dzięki Bogu!" i byłby pewnie w swojéj gorliwości służbowéj bardzo surowo z nią postąpił, lecz wspomnienie na słowa jego pana, związały jego język i skłoniły do większéj łagodności. Powiedział więc tylko:

— Wracaj pani do zamku. Pozostać tutaj nie możesz, a ja nie ścierpię, ażebyś się tak błąkała.

Jenny zdawała się równie mało zważać na zakaz, jak na poprzednią groźbę. „Pan przeszedłeś cały park?" zapytała prędko. „Czy nie spotkałeś gdzie pana Alisona?"

Nieufność Fryderyka wzrosła jeszcze. Alison! I ten miałby tu być także! Czyliż cała ta amerykańska gromada włóczyła się tutaj? To nie mogło już być bez przyczyny."

— Pana Alisona tutaj nie ma! odpowiedział stanowczo. „Odbyłem patrol w całym parku i musielibyśmy go spotkać. Musi on się gdzieindziéj znajdować."

Straszne przerażenie odbiło się w rysach Jenny. „Mój Boże! przybyłam więc za późno! On widać znalazł jakąś drogę!" szepnęła rozpaczliwie; ale nie było teraz czasu oddawać się rozpaczy, a spotkanie się z Fryderykiem nasunęło jéj zaraz nowy promień nadziei.

— Czy panu wiadomo, gdzie twój pan poszedł? zapytała smiało.

— Nie, nie wiem! odparł Fryderyk niechętnie, ale mówię pani teraz z całą powagą, że...

— On poszedł w góry! przerwała Jenny, jak gdyby nie chciała słuchać dalszéj jego mowy. I ja tam pójść muszę, muszę pójść za nim.

Fryderyk spojrzał na nią przestraszony. Dalibóg ja sądzę, żeś pani chyba rozum straciła! Pani chcesz pójść w góry? Może jeszcze do wolnych strzelców. Daj pani sobie pokój, nie dostaniesz się, na to stoją tam nasze czaty.

— Wiem o tem! rzekła Jenny stanowczo, a mimo to pójść muszę. Nie przepuszczą mnie, lecz pan znasz hasło i musisz mi dopomódz, ażebym wasze czaty przebyła.

Fryderyk zdumiony, o mało karabina nie upuścił, ale wyprostował się nagle i z wyrazem wielkiego politowania i poczucia siebie, spojrzał na młodą damę.

— Widać zaraz, że pani przybywasz z téj dzikiéj i bezbożnej Ameryki! powiedział nareszcie z przyciskiem. Żadnej poczciwéj, niemieckiej chrześcijańskiéj duszy nie przyszłaby podobna myśl do głowy. Ja mam panię przez czaty przeprowadzić, przez *nasze* czaty? Nawet mam dla pani zdradzić nasze hasło? Pani widać nie masz żadnego pojęcia, co to jest wojna, co to jest właściwie żołnierz?

Jenny zbliżyła się jeszcze o jeden krok do niego. i cichym szepczącym głosem rzekła:

— Idzie o życie twojego pana! Słuchaj panie Fryderyku,—twojego pana! On jest w niebezpieczeństwie, które mu nie ze strony nieprzyjaciela zagraża, którego sam nie przewiduje, a o którem ja jedna wiem tylko. On zginie, jeli go ostrzedz nie zdałam! Czy pojmujesz teraz, że ja bądź co bądź za nim pójść muszę?

Bolesne wzruszenie zadrżało w szerokiej poczciwéj twarzy wiernego swemu panu sługi. Wszakże ja wiedziałem! zawołał żałośnie.

— Wszakże ja zaraz mówiłem, że się dzisiejszéj nocy jakieś nieszczęście stanie!

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, mówiła daléj panna Forest stanowczo, jeżeli go spotkam dosyć wcześnie, a spotkam go z pewnością, jak tylko będę miała możność pójść za nim. Wiesz teraz, panie Fryderyku, o co idzie, i ty mi dopomożesz; nie prawdaż? Fryderyk trząsnął głową smutno i opowiedział głosem stłumionym:

— Nie mogę.

Jenny zdjęta rozpaczą, ujęła błagalnie jego rękę. Ależ ja tobie mówię, że tu idzie o życie, twojego pana mówię ci, że zginie; jeżeli go nie ostrzegę !Wolisz więc zgon jego widzieć wtedy, kiedy jedno słowo ocalić go może? Fryderyku, na Boga! przecież ty widzisz, że tu nie ma żadnéj zdrady, żadnego podejścia, że tylko śmiertelna trwoga o niego kieruje całem mojem postępowaniem. Na miłość moją, dla twego pana, zaklinam cię Fryderyku,dopomóż mi przedrzeć się przez wasze czaty.

Fryderyk patrzał na nią w głębokiem milczeniu; widział i czuł prawdę tych słów dziewicy, boć to rzeczywiście śmiertelna trwoga przemawiała i błagała temi ustami, a trwoga o jego pana, o jego ocalenie.....Dwie ciężkie łzy stoczyły się po licach wzruszonego do głębi żołnierza, lecz pochwyciwszy jeszcze silniéj karabin, odparł głosem uroczystym:

— Ja nie mogę, pani! Nie mogę mojéj służby porzucić, a gdybym to nawet mógł uczynić, pani naszych posterunków nie przejdziesz. Chociażby...chociażby to szło o życie mojego drogiego pana. Nie patrz pani na mnie tak strasznie, nie żądaj nic więcéj odemnie. Bóg jest świadkiem moim,że inaczéj postąpić nie mogę.

Jenny puściwszy jego rękę, cofnęła się. Straciła ona ostatnią nadzieję, bo poczucie obowiązku było dla Fryderyka silniejszem nad to namiętne przywiązanie do swego pana. Atkins słusznie mówił, utrzymując, że niemcy straszni są w poczuciu swoich obowiązków.

— Więc Walter jest zgubiony! rzekła boleśnie.

Fryderyk zadrżał. Nie dręcz mnie pani dłużéj. Fryderyk Erdmann nie może być zdrajcą.

Jenny oniemiała na te słowa. i wlepiła przestraszone oczy w rysy Fryderyka.

— Co to za nazwisko? Jak się pan nazywasz?

— Erdmann! Pani nie wiedziałaś o tem? Prawda, wszakże pani zawsze tylko moje imię słyszała.

Jenny wsparła się o podstawę statui, piersi jéj wznosiły się i opadały burzliwie, oczy utkwione były w stojącego przed nią żołnierza z wyrazem, którego niepodobna było odgadnąć; boleść, trwoga, przerażenie, wszystko to w nim było, a przez to wszystko przebijało się coś jakby przeczucie nie wypowiedzianego szczęścia.

— Czy pan znasz.... czy znasz pewnego młodego rzemieślnika nazwiskiem Franciszek Erdmann z M., który późniéj do Francji wyszedł, następnie w N. przebywał, a teraz w pruskiem wojsku służy?

— Tego znam doskonale! zawołał Fryderyk jeszcze więcéj zdumiony szczególnym głosem tego pytania, niż wzrokiem dziewicy. Przecież to brat mój, czyli raczéj mój brat przybrany, jak to zwykle takich nazywają.

— Więc.... głos Jenny zamierał prawie w strasznem wzruszeniu, więc to pan byłeś owym chłopcem, którego rodzice Erdmanna z Hamburga z sobą przywieźli? który się z nim w M. wychowywał, a po śmierci rodziców przez księdza Hartwig'a przyjęty został? Powiedz na miłość boską: tak lub nie!

— Nie inaczéj, ja nim jestem! potwierdził Fryderyk zaniepokojony podobnem badaniem i to w takiéj chwili. Ale na Boga! zkądże pani wiesz o tem wszystkiem?

Jenny nic nie odpowiedziała na to, zbierała bowiem wszystkie siły swoje do uczynienia pytania, od którego jéj życie lub śmierć zależała.

— A pan Fernow? Wszakże i on się wychowywał u księdza Hartwig'a? Jakże on się do niego dostał?

— Jak? bardzo prosto, pan pastor przyjął nas obu jednego i tegoż samego roku do swego domu. Najprzód mnie z łaski i litości, bo mnie nikt wziąść nie chciał, a w kilka miesięcy potem mojego pana, swego siostrzeńca, którego rodzice umarli, a on żadnych innych krewnych nie miał. Ponieważ byłem już u niego, więc nie mógł mnie odprawić, i pozostaliśmy obaj. Nie bardzo on to chętnie czynił, i na chleb któryśmy u niego mieli, musieliśmy dobrze pracować,—ja w domu, tak, żem się nie raz ruszyć nie mógł ze zmęczenia,—a mój pan przy biórku, że mu aż pióro z ręki wypadało, bo gwałtem miał zostać uczonym, chociaż z początku daleko chętniéj wiersze tylko pisał. Ale to późniéj ustało, ksiądz pastor umiał nas trzymać w karbach! Niech go tam Pan Bóg ma w swojéj opiece! Mnie lepiéj dopiero było po jego śmierci, i kiedy mój pan, zostawszy jego spadkobiercą, zatrzymał mnie przy sobie. Odtąd jesteśmy już około dwudziestu lat ciągle razem.

Jenny słuchała nieruchoma jak posąg przy którym stała, tylko obie ręce gwałtownie cisnęła do swych piersi, jak gdyby one pęknąć miały, chociaż straszny ciężar z nich ustąpił. Wielkie uczucie szczęścia jakie się z głębi jéj duszy do ust rwało, było radosnym krzykiem dla znalezionego nareszcie brata. Ona o tem nie wiedziała, ale nawet myśl o niebezpieczeństwie Waltera, utonęła chwilowo gdzieś w zapomnieniu. Jenny to jedno tylko wiedziała teraz: że straszna, wewnętrzna walka w jéj duszy skończyła się nareszcie,.... że cokolwiekby nastąpiło, jej miłość dla niego, nie była już zbrodnią!

— Fryderyku! rzekła kładąc drżącą rączkę na jego ramieniu; ale Fryderyk odwrócił się nagle i wzrok swój zatopił w przeciwnym zupełnie kierunku.

— Co tam jest? Puść mnie pani, bo w grocie ktoś się zaczaił. Kto tam? Odpowiadaj!

Nikt nie odpowiedział; lecz Fryderyk nie potrzebował już żadnéj odpowiedzi, wiedział wszystko. Księżyc oświecał całym blaskiem swoim zewnętrzny otwór groty, i przy tem świetle Fryderyk ujrzał jakieś ciemne postacie, śród których wyraźnie broń błyskała. Umysłowe zdolności Fryderyka nie były wcale tak podrzędnemi w chwili niebezpieczeństwa jak w zwykłych kolejach życia. Czego mu intelligencja odmawiała, to zastępował instynkt, a ten zawsze nim doskonale kierował. Nie liczył on na to, że dwaj jego towarzysze niczem i przez nikogo nie zatrzymani, tak jak on był zatrzymanym, musieli już być daleko bliżéj zamku, i że rapport o odbytym patrolu pierwéj od niego zanieść tam mogli, i upewnić przełożonych, że park był zupełnie bezpiecznym; ale dostrzegłszy oczywiste niebezpieczeństwo, tym właśnie instynktem wiedziony, zebrał wszystkie siły swoje w potężnych płucach i krzyknął grzmiącym głosem, który się po całym rozległ parku:

— Zdrada! Napad! Nieprzyjaciel w grocie! Zdrada! Baczność! Jednocześnie wystrzelił z karabina do groty i pochwyciwszy Miss Forest za rękę, pociągnął ją za sobą. Ostrzeżenie to zostało przez jego towarzyszy posłyszane i powtórzone przez nich śród ciszy nocnéj, rozległo się w całym parku, musiało więc być i w zamku posłyszanem. Wszakże i nieprzyjaciel nie pozostał już teraz bezczynnym: widział on, że dalsze ukrywanie się byłoby bezpożyteczne i na to hasło niemieckiego żołnierza, odpowiedział co najmniéj półtuzinem strzałów, na które Fryderyk nie zważając wcale, chciał daléj ustępować, kiedy Jenny jakimś nagłym bólem zdjęta, upadła na jedno kolano.

— Idźmy, idźmy, pani, krzaki nas zasłonią!

Jenny chciała pospieszyć za nim, ale zraniona noga odmówiła dalszéj usługi, mimo całego wysilenia jéj wielkiéj woli, i pochyliła się ku ziemi. Fryderyk chciał ją na własnych unieść rękach.

— Uciekaj! rzekła głosem wzruszonym. Ratuj się! Ja... ja zostać tu muszę.

Fryderyk ogarnął ją wzrokiem serdecznego współczucia, ale nie widział on teraz tego pięknego bladego oblicza, które każdego innego byłoby potężnie do jéj ratunku pobudziło; on nie myślał o tem że to była bezbronna i ranna kobieta, którą musiał poświęcić, jeżeli sam uratować się pragnął,—przed jego duszą stanęło szybko jak błyskawica, jedyne tylko wspomnienie:

— Powiedz mu, że Miss Forest była dla mnie najdroższą na całym świecie! Niechaj jéj broni, gdy tego będzie potrzeba, nawet kosztem własnego życia!

Jak drobne dziecię podniósł ją z ziemi, i z tym ciężarem na ręku rozpoczął swój odwrót. Postanowienie i spełnienie było dziełem jednéj chwili. Nieprzyjaciel nie rzucił się za niemi, nie chciał bowiem prawdopodobnie pozbawiać się tak pewnéj osłony, i widząc park strzeżonym, obawiał się blizkiéj i szybkiéj pomocy. Ale ten co go zdradził, nie miał ujść bezkarnie. Nowe strzały rozległy się z groty, a uciekający będąc zawsze jeszcze na gołéj murawie, nieosłonionéj żadnem drzewem, i przy blasku księżyca, wystawieni byli na kule wolnych strzelców. Fryderyk potrzebował teraz trzy razy więcéj czasu na przebycie drogi, którą inaczéj byłby pewnie w kilka sekund przebiegł. Jenny objęła rękoma jego szyję; zwykła jéj przytomność nie opuściła jéj i w tem nawet położeniu; wiedziała ona, że każde jéj poruszenie, byłoby wstrzymało bieg jéj oswobodziciela, i że tylko zupełna bezwładność mogła mu ulżyć ciężaru. Około nich świstały kule, ale fran-

cuzi źle strzelali tym razem, bo ani jedna z nich nie trafiła. W tem Fryderyk zadrżał nagle i stanął jak wryty; bolesny jęk wydobył się z piersi jego.

— Mój Boże! zranili cię! Jenny chciała się wysunąć z rąk jego, lecz nie pozwolił na to, przytrzymując ją żelazną siłą w swoich objęciach. Potem znowu postąpił naprzód, ale szedł już ciężéj i powolniéj. Jenny słyszała jak piersi jego dyszały straszliwie, a pod ręką jéj spływała jakaś gorąca wilgoć,—mimo to Fryderyk ciągle szedł daléj. Dziewica z trwogą spojrzała w jego światłem księżycowem opromienione lica i przeraziła się okropnie,—zdawało jéj się jak gdyby patrzała w twarz umierającego ojca. Grube, zwykle bez żadnego wyrazu rysy Fryderyka, przedstawiały w téj chwili przerażające podobieństwo z jéj rysami, i z rysami, które już dawno w grobie spoczywały. Teraz był, wyraz tego oblicza prawdziwie szlachetny, a dostrzeżone przez Joannę podobieństwo do rysów jéj ojca, było dla niej jaśniejszym nad wszelkie inne dowodem jego pochodzenia. Z bladych rysów Fryderyka tryskała teraz wielka siła woli, cicha, żelazna moc hardéj duszy Forestów, stających śmiało do walki przeciwko wszystkiemu, coby im w drodze stanąć śmiało.

I Fryderyk walczył teraz przeciwko wszystkiemu, siłą swojéj niezłamanéj woli. Przeniósł ją najprzód przez murawę, a potem dosyć jeszcze znaczną przestrzeń w aleję pod osłonę drzew, i tu dopiero wypuścił ją z rąk swoich. Tymczasem pod zamkiem zaczęto się już ruszać—słyszano rozmaite głosy, a pomiędzy niemi komendę oficerów i we wsi zaalarmowano załogę, aż nareszcie młody porucznik Witte, na czele kwaterujących w zamku żołnierzy puścił się przyspieszonym krokiem w główną aleję.

„Nieprzyjaciel idzie od groty!“ zawołał do Fryderyka, poznawszy jego mundur. Do nas, bracie, do nas, i naprzód!“

I ruszył daléj, a za nim wszyscy inni; ale Fryderyk nie przyłączył się już do nich. Stał jeszcze chwilkę o własnych siłach, a potem runął na ziemię całem ciałem swojem. Jenny krzyknąwszy przeraźliwie, upadła przy boku żołnierza, z którego piersi krew szerokim płynęła strumieniem... brat kosztem własnego życia ocalił swoją siostrę!...

Upłynęła godzina czasu. Bitwa była mniejszego znaczenia i krótsza niż z początku myślano. Nieprzyjaciel, który się w szczupłéj tylko liczbie zebrał w grocie, miał rzeczywiście zamiar opanować jak najciszéj zamek zajęty przez samych prawie oficerów, ażeby głównemi siłami swojemi z przeciwnéj idącemi strony, znieść załogę we wsi, pozbawioną swoich przywódców. Zbyt wczesny alarm przeszkodził temu zamiarowi; napad nie udał się i utarczka przy grocie mogła tylko być bardzo krótką. Zginęło kilku wolnych strzelców, kilku wzięto do niewoli, reszta uciekając, rozsypała się w lesie. Przy téj sposobności odkryto owo tajemne wyjście i zabezpieczono je. Ze strony niemieckiéj było także kilku mniéj więcéj ciężko ranionych, ale nikt nie zginął na miejscu. Fryderyk jeden padł ofiarą téj zasadzki.

Przeniesiono go do pokoju Jenny i złożono na jéj łóżku. Miss Forest siedziała przy nim, zapominając o własnéj ranie, która pokazała się tylko lekkim obrażeniem nóżki przez jakąś zabłąkaną kulę, obrażeniem, które zaledwie jéj chód nieco krępowało, a które przeszkodziwszy jéj ucieczce, wcale nie było niebezpiecznem. Doktór Behrend obwiązawszy skaleczone miejsce, nie zalecił nawet dalszych około niego starań; widział on, że Miss Forest nie była obecnie skłonną do pielęgnowania tak małoznaczącéj rany.

Pod oknem pokoju Jenny stał Atkins, przypatrując się w milczeniu znajdującéj się tam grupie. Jenny opowiedziała mu pobieżnie zaszłe wypadki, skutkiem czego, rysy amerykanina, pozbywszy się wszelkiego sarkazmu i wrodzonéj im ironii, oblokły się w jakąś uroczystą powagę. Oto leżał teraz ten tak długo i boleśnie szukany, za którego wynalezienie rodzice byliby całe skarby oddali, dla którego siostra dalekie morza przebyła. On był przez tyle czasu tak blisko obojga, a oni tak dumnie na niego spoglądali, tyle razy z niego szydzili, tyle razy go upokorzyli! Biedny chłopiec, na niego nie spadły te skarby wiedzy i wykształcenia, jakiemi młodość jego siostry była otoczona; ubogi i bez wychowania w upokarzającéj służbie wzrastał miljonowy spadkobierca, prowadząc nędzne życie, dopóki nie znalazł dobrego i łaskawego dla siebie pana, i chwila, która nareszcie całą wykryła prawdę, która mu bogactwo, całą przyszłość zapewnić miała, stała się dlań jego chwilą ostatnią, chwilą bolesnego zgonu.

Doktór Behrend uwiadomiony teraz ze wszystkiem, nie czynił żadnéj nadziei ocalenia Fryderyka. Rana była bezwarunkowo śmiertelną, może nie byłaby ona taką, gdyby zaraz po jéj otrzymaniu był się w krzaki schronił, ale nadzwyczajne wysilenie, podjęte celem uratowania siostry, zabiło go; straszny ubytek krwi przyspieszył jego koniec.

Zraniony leżał dotąd w głębokiem omdleniu, nareszcie poruszył się i podniósł oczy, które naprzód spoczęły na doktorze stojącym w nogach jego łóżka.

— To już pewnie będzie mój koniec, panie doktorze? zapytał głosem osłabionym.

Doktór zbliżył się do niego i spojrzał pytająco na pannę Forest, któréj wzrok błagał go o wstrzymanie stanowczéj odpowiedzi.

— To nie, mój Fryderyku, ale jesteś ciężko raniony.

Fryderyk był zupełnie przytomny i widział znaczące spojrzenie Jenny. Możesz mi pan wszystko powiedzieć. Ja się nie boję śmierci! Poczem zwrócił oczy na siostrę i dodał: „Pani mówiłaś mi, że mój pan będzie zgubiony?“

Jenny zakryła twarz rękoma, cierpiała ona podwójną męczarnię. Wystawiona na ciekawe spojrzenia obecnych, biedna, nie miała siły zapanować nad ściskającem się z rozpaczy sercem. To umierający brat na jéj posłaniu, tam może ginący jednocześnie Walter, a ona bezwładna pomiędzy dwiema strasznemi ostatecznościami!

Fryderyk zrozumiał to milczenie. To i ja żyć już nie chcę! rzekł spokojnie, ale z całą siłą postanowienia. Wiedziałem o tem, kiedy się ze mną żegnał.... a zresztą jabym bez niego nie wytrzymał na świecie!

I znowu przymknął powieki, a twarz jego jeszcze bardziéj pobladła. Doktór zbliżył się do Joanny i z serdecznem współczuciem szepnął jéj do ucha.

— Upewniam panią, że zgon jego będzie spokojny i bez żadnych prawie boleści; ale jeżeli pani potrzebujesz porozumieć się jeszcze z umierającym, to... należy pospieszyć.

Doktór opuścił pokój, udając się do innych rannych potrzebować mogących jego pomocy. Atkins, po kilku cicho powiedzianych słowach panny Forest, także wyszedł, brat i siostra pozostali sami.

Jenny pochyliła się do niego; twarz jego miała znowu zwyczajny wyraz tylko że teraz śmiertelną była pokrytą bladością. Rzeczywiście nie zdawał on się wcale cierpieć. Jenny czuła jak ostrożnie do szczegółowych objaśnień przystąpić powinna, aby nie przerwać gwałtownie téj wątłéj nici życia, i zamiast ostatniéj pociechy, ostatniego bólu mu nie zadać. Jedna tylko istota była na całym świecie, która zdolną była pozbawić ją władzy panowania nad sobą; to też ona nawet przy łożu umierającego brata nie będąc pod wpływem téj potęgi, pozostała silną jak zawsze chociaż pragnęła gorąco, ażeby smutna chwila rozłączenia nie przeszła bez ostatniego bratniego pocałunku.

— Fryderyku! rzekła głosem stłumionym i rzewnym.

Ranny otworzył powolnie oczy, zdziwiony szczególnem brzmieniem tego głosu, który zdawał mu się być jakiemś bolesnem, słodkiem przypomnieniem. Fryderyku! powtórzyła jeszcze biorąc obie ręce brata w swoje dłonie. Mówiłeś mi poprzednio o twojéj młodości. Czy ty sobie wcale nie przypominasz twoich rodziców, twoich prawdziwych rodziców?

Fryderyk wstrząsnął głową. Bardzo mało! Pamiętam tylko wielki okręt, na którym mieliśmy odpłynąć; pamiętam jak ojciec mnie puścił, każąc spieszyć za matką, jak potem i ojciec i matka zniknęli, a ja zostałem sam jeden w jakiejś ciasnéj uliczce pośród mnóstwa ludzi. Musiałem bardzo płakać i narzekać, gdyż uspokoiłem się wtedy dopiero, kiedy stary Erdmann wziął mnie na ręce i do swéj żony przyniósł;—oto wszystko co sobie przypomnieć mogę.

— I odtąd nigdy nic nie słyszałeś o rodzicach?

— Nigdy! musieli umrzeć tam w Ameryce, albo też zapomnieć o mnie. Przez całe moje życie nikt się o mnie nie dowiadywał....oprócz mojego pana.

Jenny silniej ścisnęła dłoń jego. Rodzice nie zapomnieli o tobie Fryderyku, dowiadywali się oni o ciebie i przez długie lata nie mogli przeboleć twéj straty. Wierzaj mi, byliby oni chętnie wszystkie bogactwa oddali, aby tylko dziecię swoje odzyskać, lecz nadaremnie!

W rysach Fryderyka szczególna pojawiła się niespokojność, chciał się podnieść na posłaniu.

— Czyś pani znała moich rodziców? Czyś ich spotkała tam u was w Ameryce?

— Już oni nie żyją! rzekła Jenny smutno.

Głowa Fryderyka opadła na poduszki. Spodziewałem się tego!

Jenny pochyliła się jeszcze więcéj nad rannym; jéj oddech łączył się z jego oddechem, a głos przeszedł w ciche szeptanie.

— Kiedy matka twoja szła do okrętu, nie była sama, niosła jeszcze małe dziecię na ręku. Przypominasz to sobie, Fryderyku?

Lekki, słodki uśmiech przeszedł po jego ustach. Pamiętam małą moją siostrzyczkę, naszą Joasię. Była ona jeszcze wtedy bardzo maleńka, zaledwie miała kilka tygodni, ale ja już ją kochałem.

— A tę siostrę? Jenny musiała się zatrzymać, głosu jéj zabrakło. A tę siostrę czy, pragnąłbyś poznać? Czy mogę ci ją pokazać?

Fryderyk spojrzał na nią wzrokiem radosnego przeczucia; jej oczy, jéj głos odkryły mu już całą prawdę.

— Jakto? Pani.

— Mój Fryderyku! Mój bracie drogi! zawołała Jenny głosem drżącym ze wzruszenia i upadła na kolana przed łóżkiem brata, nie zważając na ból, jaki jéj własna rana sprawiała.

Ale wrażenie, wywołane skutkiem tego odkrycia, nie było takie jakiego się ona obawiała. Wielkiego namiętnego wzruszenia nie było tu wcale. Fryderyk leżał spokojnie jak pierwéj, i patrzał na nią wzrokiem w którym przebijał się pewien rodzaj niespokojnéj trwogi. Nareszcie wydobył lekko swą rękę z jéj dłoni i odwrócił głowę ku ścianie.

— Fryderyku! zawołała Jenny głosem przestraszonym. Ty się odwracasz od twojéj siostry? Czyliż wątpisz o prawdzie słów moich?

Na twarzy jego zadrżało jakieś niby bolesne, niby gorzkie rozdrażnienie. Nie! Myślę tylko, jak to jest, dobrze że mi teraz właśnie umrzeć przychodzi! Inaczéj wstydziłabyś się pani takiego brata.

Jenny zerwała się nagle. Wyrzut ten był arcy-

sprawiedliwy. Gdyby w chwili przybycia z Ameryki wypadło jéj na brzegach Renu, uściskać biednego sługę Fernowa jak rodzonego brata, czyliżby się tego nie była najboleśniéj wstydziła? Ileż to strasznych walk i cierpień, ile ciężkich ofiar trzeba było ponieść, ażeby naprzód wyrugować z jéj serca tę nieugiętą dumę, a na jéj miejscu zaszczepić wielkie, potężne uczucie miłości rodzinnéj! Wiedziała ona teraz, nie, ona czuła teraz, że na téj śmiertelnéj pościeli leżał jéj *brat*, jedyny jéj krwi i imienia człowiek, jedyny, którego święte węzły rodzinne z nią łączyły, że wszystko, czem niegdyś w ślepéj dumie swojéj przeciwko niemu i innym zgrzeszyła, było w obecnéj chwili stokrotnie skarconem i pomszczonem. Rodzony brat, poznając siostrę, zamiast radości z tego spotkania, odgrzebywał w pamięci swojéj gorzkie wspomnienia, on drżał na myśl uścisków takiéj siostry!

Fryderyk nie zrozumiał jéj milczenia i fałszywie też wytłomaczył sobie wyraz jéj twarzy.

— Inaczéj też być nie może! rzekł spokojnie, ale bez żadnéj goryczy. Nigdy nie byłaś pani dla mnie uprzejmą, życzliwą, i za pierwszem zaraz spotkaniem, kiedym szczerze, pracowicie zebrane kwiaty ci podawał, nie chciałaś ani jednego z nich przyjąć i ominęłaś mnie z pogardą, któréj dotąd jeszcze zapomnieć nie mogę.

Fryderyk przestał mówić; ale czego wszystkie walki i udręczenia, czego rozpacz Jenny wywołać nie mogła, to sprowadziły te proste pełne bolesnego żalu słowa, których doniosłości nawet sam Fryderyk nie pojmował. Jenny zalała się gorącemi łzami i zapłakane oblicze przytuliła do głowy umierającego brata. W tym głośnym rozdzierającym sercu płaczu, złamała się nareszcie ta zimna duma, z jaką ona dotąd spoglądała na wszystko, co jéj nie dorównywało duchem lub położeniem towarzyskiem—złamała się ta twarda surowość natury—złamała się nareszcie ta męzka siła woli, którą ojciec w niéj zaszczepił i podsycał; płakała ona teraz jak kobieta płakać może, w śmiertelnéj trwodze i rozpaczy, kiedy wszystko około niéj upadać, walić się zaczyna... Jenny Forest nagiąć się nie umiała, ją koniecznie złamać trzeba było.

Ale te łzy, pierwsze od jéj lat dziecinnych, spadły także gorącą lawą i na serce jéj brata i pokonały jego względem niéj trwożliwość i niepokój. Widział on teraz, że siostra wstydzić się już za niego nie będzie, że on podejrzeniem swojem zanadto ją zranił, i zebrawszy resztę sił swoich, znowu się do niéj obrócił.

— Joanno! rzekł cicho i to dawno słodkie imię wyszło czułe, niemal pieszczotliwie z ust umierającego. „Nie gniewaj się na mnie, droga Joanno! Wszakże już teraz wszystko naprawione, bo przynajmniéj ciebie ocaliłem!

Wyciągnął omdlewające ręce do siostry i usta obojga spotkały się w serdecznym, pierwszym pocałunku... który był także i ostatnim!....

Gdy następny poranek zawitał na ziemię, syn Foresta wymazany już został z liczby żyjących. Jenny, wypuściwszy martwe zwłoki brata ze swoich objęć, zwróciła blade swoje oblicze do okna; w pokoju było jeszcze na pół ciemno, kiedy na świecie wschodzące słońce już krwawem światłem nad bliskiemi górami świecić zaczynało... Czy *i tam* jaka niewinna padła ofiara?

Pogodna noc jesienna zaległa jeszcze góry i osłaniające ich boki, lasy; księżyc blade lecz jasnem światłem swojem oblewa drogę górską, a ciemne ostro rysujące się na wypogodzonem niebie szczyty gór odbijają się tak wyraźnie od zasianego gwiazdami stropu niebieskiego, że w nich każdą przepaść, każdą drożynę i ścieżkę, łatwo rozpoznać można było. Wyżéj nad te zarysy ciągnęły się lasy wielkie zlewając się w jedną, ciemną bezkształtną massę, nad którą unosiła się lekka biaława mgła, niby srebrzysta osłona. Na bocznych pochyłościach gór, spływające ukośnie promienie księżyca, uwydatniały każde drzewo, każdy krzaczek jakby śród dnia najpogodniejszego.

Na skalistem płaskowzgórzu, przy samem wejściu do wąwozu, tuż u stóp wysokiéj, jedynéj sosny, stoi Henryk Alison. Wyprzedził on znacznie swego przeciwnika, nie widząc na odbytéj drodze żadnéj z tych przeszkód, jakie godziną pierwéj spotkać go na niéj mogły. Spełnieniu przyjętego obowiązku, chęci ocalenia kogoś, częstokroć niezwyciężone stawają na drodze zawady.... zbrodnia prawie zawsze śmiało i otwarcie idzie naprzód, jak gdyby ją szatańska jakaś zasłaniała potęga.

Przepowiednia Atkinsa sprawdziła się zupełnie, gwałtowna, popędliwa natura Henryka, wystąpiwszy raz ze swoich granic niczem już wstrzymaną być nie może, tylko, że ona nie miota się nigdy w dzikich swoich szalonych knowaniach, gdyż głowa Amerykanina nawet i w tedy jeszcze zachowuje cały chłód przebiegłéj rozwagi; dla niego, obok żądzy zemsty nad nienawistnym wrogiem, idzie jeszcze w własną pewność i bezpieczeństwo. Drogi w górach są zawsze niepewne, to każdemu wiadomo, i jeżeli tam rankiem znajdą jakiego zabitego niemieckiego oficera, to on poległ od kuli wolnego strzelca; wszakże to się często w wojnie przytrafia. po co szaleniec puszczał się sam jeden i w nocy na takie bezdroża! Straże obsadziły wszystkie wyjścia i przystępy i nikogo podejrzanego tam nie dostrzegły; Henryk powróci zatem bezpiecznie, zwłaszcza, ze za obręb parkowy wcale nie wyszedł.

Odkrycie jest niemożebnem i pewność tá podnosi jeszcze zimną spokojność amerykanina, któréj żadne uboczne względy, żadne skrupuły sumienia nie krępują. On rzeczywiście nie poddaje się żadnym idealnym wątpliwościom, co do sprawiedliwości lub niesprawiedliwości swego zamiaru; on wypowiedział swemu przeciwnikowi walkę na równo i gotów był własne życie nadstawić. Tamten nie przyjął tego, więc skutki niechaj na jego spadną głowę!

Trudno było lepsze wybrać sobie stanowisko. Henryk stoi w głębokiem cieniu, pod ścianą skały, u stóp wyniosłéj sosny osłonięty jéj gałęziami; tuż u nóg jego wije się droga, a obok niéj ścieżka dla pieszych wędrowców; nad jedną i drugą panuje on zupełnie wzrokiem swoim i bronią; cokolwiekby się tutaj w kierunku od S. ruszyło, baczności jego ujść nie może, a broń Henryka nigdy celu swojego nie chybi; wszakże biegłość jego w strzelaniu powszechnie jest znaną. Czeka więc z oczyma wlepionemi w zakręt drogi, którą Walter koniecznie przebywać musi! cała siła jego duszy skupiła się w tem niecierpliwem oczekiwaniu; nie widzi nic co zanim, co obok niego dziać się może,—nie słyszy nawet tego cichego szmeru jaki między sąsiedniemi drzewami szeleści, szmeru, niby płaczu, niby skargi jakiejś..

Otóż nareszcie! Na zagięciu drogi wynurza się ciemna, wysoka postać; zbliża się ona coraz bardziéj powolnym, ale pewnym i śmiałym krokiem. Henryk poznaje wyraźnie ruchy i chód Waltera, poznaje nawet rysy tego człowieka, który zbliżywszy się do płaskowzgórza, ma już wejść na drogę prowadzącą na takowe i z wolna podnosi swój zewolwer.

Wtem nagle pada kilku strzałów, z przeciwnéj strony, z pomiędzy drzew wznoszących się po za drogą wyskakuje kilku ludzi uderzając na samotnego wędrowca, który odważnie rzuca się w bok i równiez ognia do nich daje. To wszakże chwilowo tylko zmieszało nieprzyjaciela, który świadomy swéj liczeb przewagi, przyparł Walter do skały i w jednem mgnieniu oka zewsząd go otoczył.

Henryk stoi nieruchomy z bronią wymierzoną i przypatruje się krwawéj scenie toczącéj się u stóp jego. Walter oparty o skałę, trzyma się jeszcze dzielnie, ale krew spływa już z jego czoła i broni się samą tylko szpadą. Nieprzyjacielowi idzie wyraźnie o pojmanie go żywcem, gdyż żadnej nie używa już broni przeciwko niemu, usiłując tylko bądź z przodu, bądź z boku powalić go na ziemię; za chwilę ta nierówna walka skończyć się już musi.

Henryk widzi to wszystko, ale jednocześnie widzi także, że ów czyn haniebny jaki spełnić zamierzał, zostanie mu oszczędzonym, że nie potrzebuje odbierać tego życia, na które nastawał, bo ono i tak przepadnie, gdyż Henryk poddać się nie myśli. Sześciu przeciwko jednemu! Dziwna rzecz, myśl ta z szybkością błyskawicy przejęła wstydem duszę amerykanina. Sam chciał przed chwilą własną ręką niecne popełnić morderstwo, ale patrzeć bezczynnie, jak to morderstwo pod jego okiem spełnić miano, na to zgodzić się nie mógł. Jedna sekunda walki wewnętrznéj i szlachetna natura Henryka odnosi zwycięztwo nad nienawiścią i żądzą zemsty; on spieszy na pomoc i ratunek swego wroga!

Za pierwszym strzałem pada jeden z wolnych strzelców, za drugim takiż sam los spotyka jego towarzysza, a reszta przestraszona odstępuje od swojéj ofiary, myśląc już tylko o własném ocaleniu. Jeszcze jeden strzał, i jeszcze jeden trzeci zabity. Zdumieni tą skuteczną odsieczą, francuzi spoglądają w górę, z któréj tak trafne spadają na nich ciosy, a gdy już teraz i sam napadnięty ośmielony niespodziewaną pomocą, ze szpadą w ręku nacierać na nich zaczyna, ustępują spiesznie z pola bitwy. Wszakże ostatni jeszcze strzał amerykanina dosięgnął i czwartego z uciekających, który upuścił karabin, i pochwyciwszy się za ramię, z ciężkiem przekleństwem na ustach, zniknął razem z drugimi w leżących za drogą krzakach.

Walter stoi jeszcze bez tchu i zdumiony na swojem miejscu, gdy wtem czuje jakąś silną dłoń chwytającą go za rękę i słyszy znany mu głos mój wiący doń pospiesznie. „Precz ztąd! precz! Niechaj nie wiedzą, że nas dwóch tylko mają przeciwko sobie!"

Fernow spieszy machinalnie za swoim zbawcą i w ciągu kilku minut obaj znajdują się w miejscu bezpiecznem pod osłoną ciemnej skały i gęstszych już tutaj drzew sosnowych. Młody oficer na pół odurzony zaszłym wypadkiem, blady i krwią oblany, zatrzymuje się pod jednem drzewem, gdy jego oswobodziciel, niemniéj od niego wzruszony, staje także przy jego boku, oddychając głośno, jak gdyby się jakiegoś strasznego pozbył ciężaru.

Byli oni rzeczywiście w miejscu zupełnie bezpiecznem, z którego każde poruszenie nieprzyjaciela dokładnie widzieć mogli. Właściwie Walter spotkał się tylko z pojedynczym patrolem, który po tak dotkliwéj stracie nie myślał wcale do nowej powracać walki i przepadł gdzieś bez śladu.

(d. c. n.)



N. 1. Kołnierz i rękawy. Robota szydełkowa i plecionka w ząbki. Patrz N. 11.

Opis do N. 21.

N. 1—2. Dwa kołnierze wraz z rękawkami; robota szydełkowa.

Próbki roboty naturalnéj wielkości pod N. 11—12.

Obadwa kołnierze stanowią pasy szydełkowéj roboty 85—100 cent. długie, 5—6 cent. szerokie, które w końcach z przodu rozszerzone są kawałkami tiulu lub muślinu 17—19 cent. długiemi 5—6 cent. szerokiemi, ściętemi przy wykroju szyi skośnie ku górze, jak to wzory wskazują.

N. 1 i 11. Kołnierz i rękawki; robota szydełkowa i ząbki z tasiemeczki.

Środkowy liść każdéj z 23 rozet z których składa się szlak kołnierzyka, zaczyna się od podłużnej przezroczystéj żyłki; najpierw zrobić 18 o. łań. z tych 5 o. ostatnich opuścić, w dalsze zrobić 7 słup. przedzielanych u góry i dołu 1 o. po. Na spiczasty róg liścia, daje się 8 o. śc. w brzeżne o. łań., a następnie rzędami w poprzek się układającemi, tam i napowrót ściegiem karbowanym, (biorąc zawsze za nitki od spodu węzłów) robi się liść podług wzoru, zostawiając od każdego w górę idącego rzędu 2 oczka niezajęte jako ząbek. Dla zaokrąglenia formy w ostatnim rzędzie w górę, robi się tylko 5 o., poczem drugą połowę liścia wykonać w odwrotnym porządku. Brzegi rozet daje się w jednym ciągu z dwóch kawałków ząbków z tasiemeczki, które podług deseniu układane w gzygzak w półkola, krzyżują się jedne na drugich na środku.

Połączenie liści z ząbkami dokonywa się sposobem następującym: 1 o. ści: w czubek ząbka, 5 o. po. 1 o. ści. w ząbek następujący 2 o. po. 1 słu. cztery razy nawijany w ząbek listka przy żyłce środkowéj, 2 o. po. Powtórzyć od * sześć razy, ażeby połowa liścia była przyczepiona 6 dł. słup. do jednej strony wewnętrznej wklęsłości rozety. Następnie 1 o. ści. 5 o. po: 1 o. ści. w następujący ząbek; nabrać słu. 5 razy nawijany na igłę i połączyć nim we wklęśnięciu dwa na siebie zachodzące ząbki; nakoniec takim samym sposobem przyczepić drugą połowę listka. W górze szlak zakończony jest prosto ząbkami z tasiemeczki, przyczepionemi o. po. i różnéj stosownéj długości słupkami. U dołu obrabia go się dwoma rzędami ząbków z o. po. na które potrzeba użyć cieńszéj bawełny. Wykrój pod szyją obrobiony jest także dwojakiemi ząbkami, a na dodanym tiulu lub muślinie, naszyta aplikacyja z listków szydełkowych.



N. 2. Kołnierz i rękawki. Szydełkowa gipiura. Patrz N. 12.

Szerokie rękawki zakończone są takim samym szlakiem.

N. 2 i 12. Kołnierz i rękawki z szydełkową gipiurą.

Najpierw odrobić trzeba pojedyncze gwiazdki, a następnie ułożyć je w dwa rzędy w ten sposób, iżby tworzyły z brzegu rodzaj zębów na ry: 2 wskazanych, połączonych kratką szydełkową. Każda rozeta zaczyna się od środkowégo kółka, z 15 o. po, które obrobione jest 32 o. ści. co dwa o. ści. daje się 1 pi. z 4 o. po. Na 8 zębów czyli liści otaczających kółko, daje się po 10 o. po. przyrabianych 1 o. ści: które w drugim rzędzie obrabia się



N. 3. Sukienka z tuniką, i stanikiem pod szyję i karoczkiem.

N. 4. Ubranie dla chłopca. Kurtka i majteczki.



N. 5. Tunika i stanik pod szyję z pelerynką muślinową.



N. 6. Tunika i stanik pod szyję ze sznurami.

4 o. ści. 9 pik. przedzielanych 4 o. pow. i 4 o. ścisłemi. Górny brzeg szlaku zakończony jest takiemi kółkami jak w środku rozety, połączonemi za pik. boczne. Środek koronki zapełnia krata ułożona z naprzemian idących zębów, które składają się z o. po. przyrabianych o. ści. i przyozdabiane są z boków pikotami. Muślin plisowany dopełnia przednie części kołnierza, a górny wykrój oszyty jest wązką szydełkową koroneczką.

Muślinowe szerokie rękawy, zaszyte są w zakładki i zakończone gipiurowym szlakiem. Tak przy kołnierzyku jak i rękawkach, przez górne kółka szlaku, przewleczona jest czarna aksamitka.



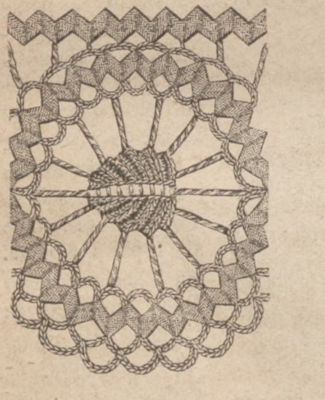
N. 7. Szarfa ze wstążki.

N. 3. Sukienka z tiuniką i baskiną, dla dziewczynki od 7 do 10 lat.

Krój jak do ryc. 46 w N 18 Tygodnika.

Skośne 3 cent. szerokie riusze z gładkiéj materji, fałdowane w jedną stronę i aksamitką przeszyte, stanowią garnirunek sukienki wełnianéj, w paski białe i popielate. Pod spódniczkę, tiunikę i baskinę, dana jest podszewka ze sztywnego muślinu. Przedni bryt tiuniki ma w środku 29 z boków 23 cent. długości, 38 cent. dolnéj, a 16 górnéj szerokości. Kliny boczne są 32 c. długie, 30 u dołu, a 17 u góry szerokie; bryt tylny cokolwiek ku górze zwężony, ma u dołu 54 cent. szerokości, a 36 cent. długości.

Baskina z tyłu w dwie kontrafałdy $4^1/_2$ cent. głęboko założona, do przodu nieco zwężona i w końcach zaokrąglona, przyszywa się do paska aksamitem objętego; mieć ona powinna 12 cent. długości, a 96 cent. szerokości. Rękawy wązkie, zakończone są skośnym wolantem, mającym 40 cen. obwodu, 16 cent. środkowéj, a 11 cent. szerokości p r z y zeszyciu. Wolant ten objęty jest z brzegów aksamitem. przez środek przymàrszczony i riuszą przyszyty. Do paska z tyłu dodana kokarda, z 4 skośnych aksamitem objętych pukli. Stanik zapina się na guzik i czarne aksamitne.

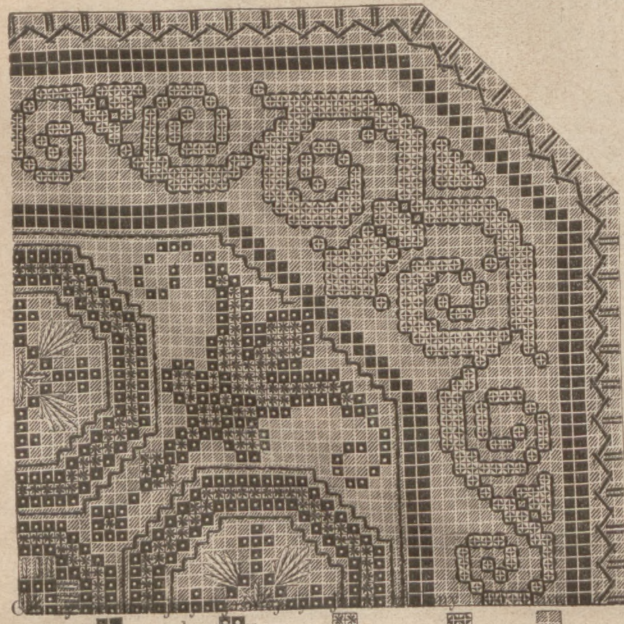


N. 11. Robota szydełkowa z plecioneczką do kołnierza N. 1.

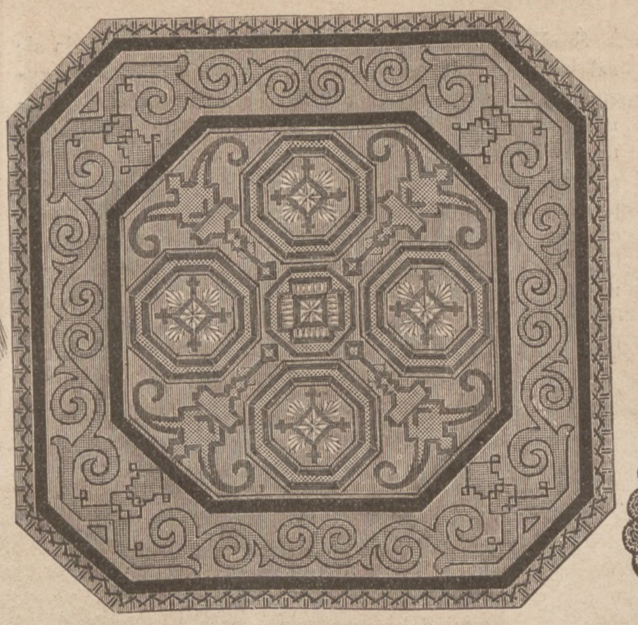
N. 4. Bluzka i majtki dla chłopczyka od lat 4—6

Krój jak do ry. 27 w N. 18 i 26 w N. 19 Tygodnika.

Całe ubranie uszyte bez podszewki jest z letniego jasno popielatego materjału. Przystrojenie bluzki i majtek,



N. 10. Deseń roboty krzyżowej, do ryciny N. 9.



N. 9. Haft na poduszkę. Patrz N. 10. Krzyżowa robota na kanwie Panama.

składa się z patek i plisy czarną taśmą objętych; pierwsze przy majtkach i baskinię, mają 3 cent. szero. a 7 c. długości. Na bluzce z przodu, naszyte są od ramienia plisy wkształcie szelek, żeberkami połączonych. Karoczek 10 cent. długi, może być w jednym ciągu do bluzki dodany, albo osobno ukrojony i do paska przyszyty.

N. 5. Tiunika i stanik z baskiną.

Szeroki przedni bryt tiuniki z boków w 2 fałdy zaszyty, ma proste tylne bryty podpięte w bufy, a z brzegów wywinięte i z przodem krytym szwem połączone. Przy staniku pod szyję, dodana kamizeleczka jak na ry. 2 w N 19 Tyg. Garnirunek stanowią 4 jedna na drugą zachodzące pliski, w górze koronką zakończone. Można



N. 13. Torba ręczna. Haft na drelichu w deseń. Patrz N. 14.

je zastąpić jedną plisą szeroką, ciemniejszego koloru, przeszytą w maszynie jaśniejszym jedwabiem. Przy spódnicy mogą być takież plisy szerzéj naszyte, albo falbankami zastąpione.

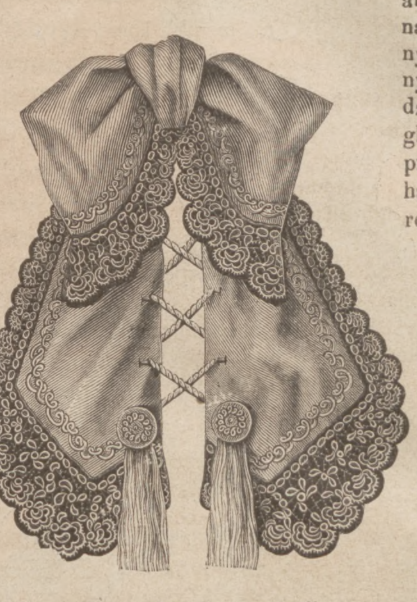
Biała muślinowa chusteczka układa się z krzyżówki, mającéj w skośnym przecięciu 68 cent. długości, rogi przednie odcina się podług wzoru, brzegi proste oszywa koronką i aksamitką, pod szyją wzdłuż zakłada 3 głębokie fałdy, a z przodu zapina kokardą, z odciętych końców ułożoną.

N. 6. Tiunika i stanik z baskiną, ubrany sznurami.

Suknia z alpagi zielonawo-dzikiego koloru, ma tiunikę przykrojoną podług formy do ryc. 31 w N. 18 Tygodnika, tylko odmiennie podpiętą. Baskina z boków i z tyłu rozcięta. Rękawy pół szerokie, wyłożoną klapą i guzikami ubrane. Szerokie plisy z ciemniejszą wypustką i frendzla kręcona stanowi garnirunek. Oryginalne i niezwyczajne przystrojenie stanika, stanowią grube, jedwabne sznury, przyszyte z tyłu od środka kołnierza, i przeprowadzone pod pachą do góry przodów, przy zapięciu kołnierza. Garnirunek spódnicy stanowią falbanki 8—10 cent. szerokie w zęby wycięte, ułożone podług wzoru pod N. 17 podanego.

N. 7. Szarfa ze wstążki i aksamitu.

Łatwy a jednak bardzo zgrabny układ szarfy, niepotrzebuje szczegółowego opisu. Wstążka mantynowa lub rypsowa, może być w jednakowym jak aksamit kolorze albo do cieniu lub nawet w odmiennych dobrze dobranych kolorach. Bardzo strojnie wygląda w s t ą ż k a przerabiana l u b haftowana w kolorowe kwiaty albo arabeski. Do sukni szarfa powinna być koniecznie szeroka i piękną frendzlą zakończona. Odpowiednie ubranie d o kołnierzyka i włosów, można ułożyć z wązkiéj wstążki i aksamitki.



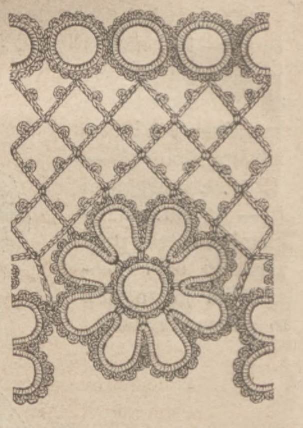
N. 8. Szarfa z materji.

N. 8. Szarfa z materji.

Końce szarfy podłożone sztywnym muślinem i podszyte fularem, mają od środka 40, z brzegów 35 cent. długości; u dołu 18, w górze 10 cent. szerokości. Kokardy także na podszewce i muślinie, są 10 cent. szerokie. Koronka irlandzka, hiszpańska lub gipiurowa, naszywa się gładko na plisowanéj materji lub kręconéj frendzli. Na szarfie nad koronką dodane wyszycie z cienkiego jedwabnego sznureczka; haft drobny płaski, albo ściegiem łańcuszkowym lub sznureczkowym. Środkiem szarfy złączone są sznurowaniem z jedwabnego sznura, zakończonego kwastami i rozetami. W miejsce koronki można do oszycia użyć frywolitek.

N. 9—10. Haft na poduszkę do kanapy albo fotela. Robota krzyżowa na kanwie Panama.

N. 9 podaje małe wyobrażenie wykończonéj roboty która jest bardzo łatwa, pospieszna i ładna. N. 10 przedstawia część czwartą deseniu z oznaczeniem k o l o r ó w. Brązowa kanwa Panama stanowi tło, na którem odrabia się deseń jak na kanwie zwyczajnéj. Środek zapełniają ośmiokątne medaljony i arabeski robione dwoma cieniami włóczki orzechowéj, z dodaniem długich ściegów wyszytych jasno orzechową filozelą.



N. 12. Robota szydełkowa do ryciny N. 2.

Zewnętrzne i wewnętrzne brzegi medaljonów obwiedzione są filozelą czarną. Takaż prążka otacza wewnątrz ramkę, z czarnéj włóczki, zamykającą medaljony.



N. 14. Haft na drelichu w deseń do N. 13.

W koło idąca arabeska, robi się pięknym, zielonym kolorem, z brzeżkami z czarnéj filozeli; za arabeską dana znów ramka z czarnéj włóczki, zakończona b r z eżkiem czarną filozelą wyszytym.

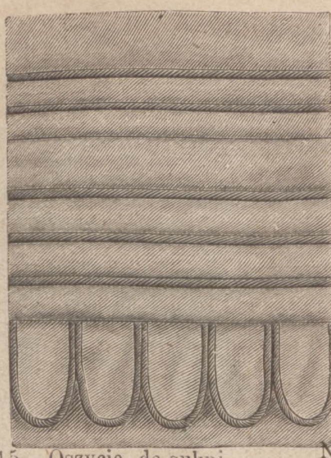
N. 13—14. Ręczna torebka.

Wyszycie na deseniowym drelichu lub adamaszku.

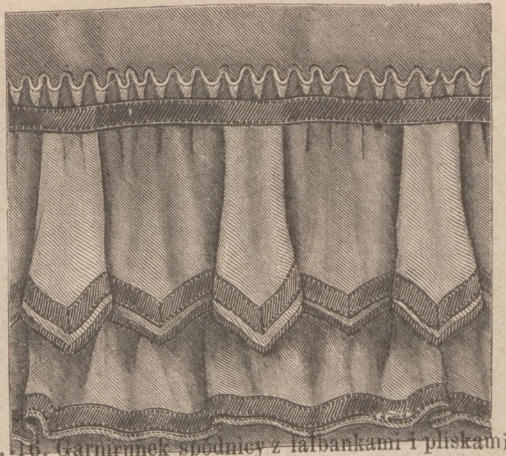
Materjał: adamaszek srebrno popielaty z białym, filozela w dwóch cieniach zielonych, karmazynowych i czarna. Sznur gruby skręcony z takichże mięszanych kolorów, 2 fiszbiny, mocne płótno na podszewkę, popielaty drelich lub wełniany gładki atłas na boki.

Nie krępując się podanym deseniem, można podług własnego g u s t u, odpowiednio wyszyć każdy d e s e ń wyrobiony w adamaszku, dobierając odpowiednie kolory filozeli lub kordonkowego jedwabiu. Na podanéj przez nas próbce, tło jest popielate a deseń biały, krata więc obwodzi się dwoma cieniami zielonemi, a gwiazdy karmazynowemi, gwiazdki zaś łączące kraty, oraz środkowe krzyżyki są czarne.

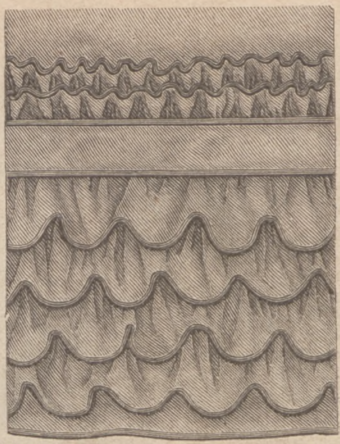
Oprócz bocznych części, całą torebkę kraje się w jednym kawałku. Wziąwszy pas prosty mający 62 cent. długości a 32 szerokości, zostawia się w jednym końcu $7^1/_2$ c. na klapkę zwierzchnią, któréj nadaje się kształt wskazany; resztę składa się przez środek i ścina skośnie ku górze do 27 cent. szerokości. Dwa fiszbiny nadają torebce potrzebną sztywność w górze, do wsunięcia ich daje się zaszycie w podszewce przy jednéj połowie, a przy drugiéj zakończonéj klapką podszywa się osobną listewkę. Prosty pas mający 6 — 7 cent. szerokości przyszywa s i ę wzdłuż boków torebki, i zeszywa środkiem układając w drobne fałdy, zbywający u dołu materjał. Na tem przefałdowaniu, przyszyta jest kokarda ułożona ze sznura, zakończonego kwastami. Brzegi boków i klapka oszyte są grubym sznurem, z którego robi się także ucho do noszenia. Klapka zapina się na pentelkę i guzik.



N. 15. Oszycie do sukni z plisek i ząbków podłużnych.



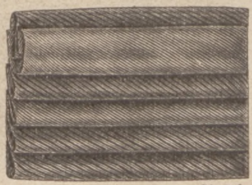
N. 16. Garnirunek spódnicy z falbankami i pliskami. Do sukni N. 49 w N. 18 Tygodnika.



N. 17. Garnirunek z falbanek w ząbki do kostjumu N. 20.



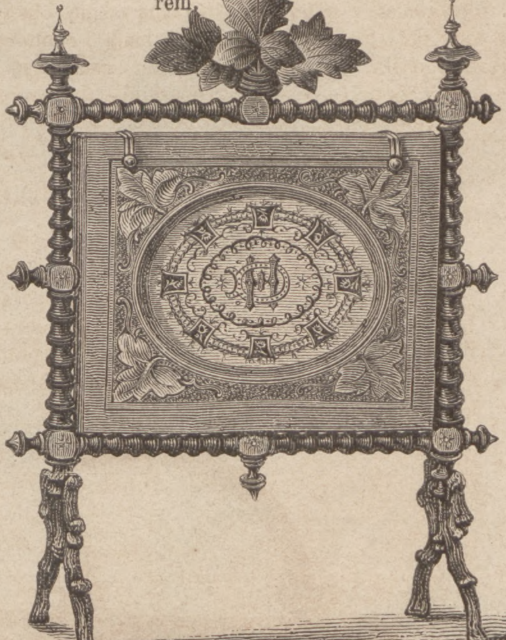
N. 18. Podwójna pliska z przystębnowanym sznurem.



N. 19. Mięszane pliski.



N. 20. Tunika i stanik z baskiną, jako dopełnienie kostjumu.



N. 22. [illegible] postumencie. Patrz N. 23.

N. 15. Garnirunek do sukni z patek zaokrąglonych i plisek.

Prosto krajane patki, objęte skośną pliską z ciemniejszéj materji, mają 8 cent. długości, a 6 szerokości, pliski zakończone ciemniejszą wypustką ze sznureczkiem, są około 3 cent. szerokie. Powyższy garnirunek można dwa r a z y powtórzyć przy spódnicy.

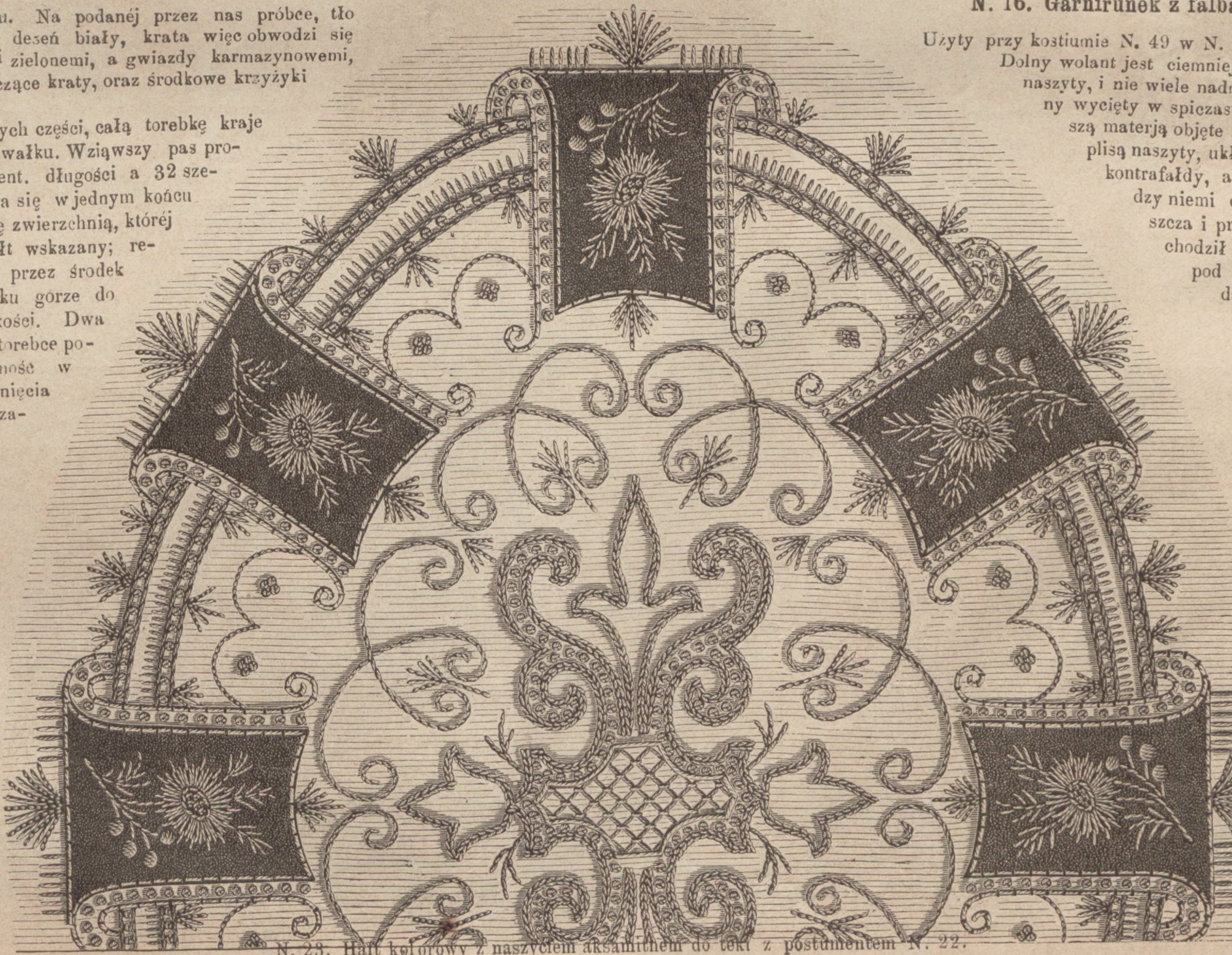


N. 21. Tunika i kaftanik jako dopełnienie kostiumu.

N. 16. Garnirunek z falban i plis.

Użyty przy kostiumie N. 49 w N. 18 Tygodnika.

Dolny wolant jest ciemniejszą pliską prosto naszyty, i nie wiele nadmarszczony. Górny wycięty w spiczaste zęby ciemniejszą materją objęte i takąż stębnowaną plisą naszyty, układa się w małe kontrafałdy, a w odstępach między niemi cokolwiek nadmarszcza i przyszywa aby zachodził na poprzedni. Z pod pliski w górę dodana riusza, powinna być w rurkę ułożona, które nieznacznie przyczepia się do spódnicy.



N. 23. Haft kolorowy z naszyciem aksamitnem do teki z postumentem N. 22.



N. 26. Okrągły kapelusz z wywiniętem rondem. N. 24. Czepeczek z muślinu. N. 27. Okrągły kapelusz z wyginanem rondem. N. 32. Okrągły kapelusz z miękką główką.
N. 28. Okrągły kapelusz z wysoką główką. N. 25. Ślubne ubranie głowy. N. 25. Ślubne ubranie głowy. N. 29. Płaski kapelusz chiński.
N. 30. Wiązany kapelusz z djademem. N. 31. Kapelusz okrągły przybrany woalem. N. 33. Kapelusz od słońca. N. 35. Zarzutka na głowę z tiulu koronkowego.
N. 34. Kapelusz do konnéj jazdy.